CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 21 (1861) ● 22–28 maja 2026

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Sprzedajna Polska

str. 6–7

NIE WYJEDZIECIE

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl fefc40b2c9

Za tydzień podwójny numer tygodnika „NIE” na Boże Ciało i ludzkiego grilla.

WOJNA DOMOWA

Dominowały dwa tematy: Ziobro i żołnierze. Jesteśmy nieszczęśliwi, bo Trump zabrał nam jedno i drugie. Tusk uspokaja, że oba zabory są czasowe. Żołnierzy Ameryka nam odda, bo nam się należą. Premier „z radością przyjął deklarację Waszyngtonu, że jeśli chodzi o Polskę, to będzie ona traktowana tak, jak na to zasługuje”. Nie wiemy, jak Państwa, ale nas ta fraza jednak nieco niepokoi – zwłaszcza gdy przyglądamy się zachowaniu naszego wicepremiera i ministra obrony narodowej. W piątek ogłosił on z dziecięcym przejęciem: „W środę będzie u mnie na spotkaniu pierwszy żołnierz Stanów Zjednoczonych, czterogwiazdkowy generał Dan Cane, najważniejszy doradca wojskowy prezydenta Trumpa i sekretarza wojny”. Atoli we wtorek wieczorem okazało się, że Cane nie przyjedzie, co w żadnym stopniu nie zgasiło entuzjazmu Władzia, który z równą radością pochwalił się „spotkaniem z zastępcą szefa połączonych sztabów, można powiedzieć drugim żołnierzem Stanów Zjednoczonych, czterogwiazdkowym generałem”… A jak nie drugi – to może chociaż trzeci? Piątego też przyjmiemy, i nikt u nie będzie gwiazdek liczył. A Polska będzie traktowana tak, jak na to zasługuje…

Ziobrą premier zajął się na posiedzeniu rządu: „Bardzo bym chciał, aby zarówno minister spraw zagranicznych jak i minister sprawiedliwości przedstawili naszym amerykańskim partnerom komplet informacji; mówię nie tylko o waszych odpowiednikach, ale także o amerykańskiej opinii publicznej i tych politykach i liderach opinii publicznej, którzy mogą mieć znaczenie”. Wieść o zarzutach dla Ziobry winna być rozpowszechniana: „Dobrze, żeby ta informacja dotarła możliwie szeroko w Stanach Zjednoczonych do każdego, kto może pomóc nam w tej sprawie”. Minister Żurek zdaje się nieprzekonany. Zapytany, czy wybiera się po Ziobrę do USA, wyjaśnił nieco lekceważąco: „Nie wykluczam takiej sytuacji, a ja bardzo ciężko pracuję i unikam wyjazdów, które miałyby charakter niepotrzebnych nikomu wycieczek”. Także koncept docierania do opinii publicznej nie budzi jego entuzjazmu: „Na pewno nie będziemy wydawać publicznych pieniędzy, Ziobro jest takim samym obywatelem jak każdy inny, komu ustawiamy zarzuty, to byłby nasz taktyczny błąd, gdybyśmy organizowali jakąś kampanię informacyjną dotyczącą Ziobry”. Czy nam się tylko wydaje, czy sędzia Żurek powiedział premierowi, żeby się wypałował?

Może Ameryka nas olewa, ale za to Węgry – ho, ho. Nowy węgierski premier na swoją pierwszą wizytę wybrał Polskę, i to nie tylko Warszawę: i po Krakowie się przeszedł pod czujnym okiem kamer, i Pendolino się przejechał, żeby swoim rodakom pokazać, jak dobrze i szybko żyje się w UE, i premiera i prezydenta odwiedził, i do sejmu zajrzał, i do Lecha do Gdańska skoczył. Media niezaskakująco zaroiły się od specjalistów od Węgier. Nas szczególnie ujął prof. Bogdan Góralczyk, który zachęcał Katarzynę Kolendę-Zaleską do wsparcia węgierskiej transformacji: „Tam były zmonopolizowane rządowe media, teraz będą prywatyzowane, będzie się działo! Niech wchodzi polski kapitał w media: kanały telewizyjne, radiowe, prasa cała do wzięcia!”. Hm. Tak sobie myślimy, że takie numery przechodziły w latach 90., a i to społeczeństwo wiedziało, co myśleć, tylko bało się mówić. Jeśli receptą nowego węgierskiego rządu jest prywatyzacja wszystkiego, co państwowe, to miesiąc miodowy będzie raczej krótki.

Policja wbiła się do domu naczelnego Republiki Tomasza Sakiewicza i skuła jego asystentkę, albowiem na czacie z rzecznikiem praw dziecka pojawił się ktoś, kto udał dziecko i doniósł, że jest w tym właśnie mieszkaniu i „popełnia samobójstwo w toalecie”. Asystentka – wyjaśniają policjanci – „miała wyraźny cel, żeby werbalnie się z nami przekomarzać”, więc ją związali. Minister Kierwiński nie ma im nic do zarzucenia i zapowiada kontynuację: „Ważniejsze jest dobro dziecka, a nie jakiś komfort kogokolwiek”. Z kolei nad Hrubieszowem, 5 km od granicy z Ukrainą, pojawiły się drony. Mieszkańcy nieco się zaniepokoili, albowiem nikt nie uznał za stosowne ich ostrzec, że wojsko przeprowadza ćwiczenia; nie poinformowano również lokalnych władz. „Jako społeczeństwo powinniśmy przyjąć ze zrozumieniem działania, które są podejmowane przez siły zbrojne” – skomentował gen. Różański, były dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych, aktualnie senator koalicji rządzącej. Tak nam się zdaje, że lista zachowań władz, które musimy przyjmować ze zrozumieniem w imię bezpieczeństwa, nieustanie się rozszerza.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA



Maj 2014 r. BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Świętego Gresa

Azor uwielbia jeździć do weterynarza. Widok chorych, poranionych i rozjechanych psów wprawia go w zadowolenie z własnego zdrowia. Im więcej i częściej płaci się za wizyty pudla, tym bardziej rośnie jego prestiż w psiej społeczności. To samo dotyczy Daniszewskiej, która Azora wozi i za niego płaci, bo pies i ja zawsze jesteśmy bez grosza.

Świętego Bernardyna

„Gazeta” Sakiewicza ubolewa: „…katowicki oddział IPN przygotował wiele atrakcji. Niestety chętni na zobaczenie miejsc komunistycznych represji nie będą mogli zobaczyć lokalnej atrakcji”. Są nią cele więzienne, kraty i taborety – konkretyzuje gazeta.

Świętego Konstantyna

Z okazji 60. urodzin Kwaśniewskiego jego przyjaciele ocenzurowali zamówione z tej okazji moje wspomnienia o byłej znajomości z byłym prezydentem. Powiedziałem, żeby cięli, co chcą. Szczegółów nie chciało mi się poznawać. Wrogowie Kwaśniewskiego przypomnieli sobie, że istnieję, i zapraszali do TV, żebym go obszczał za zarabianie na Ukrainie. Ewentualnie także Millera, który skacze na Kwaśniewskiego jako zgorszona, bo niewinna dziewica. Naprawdę wszyscy mają o mnie gorsze zdanie niż ja o sobie. Z tym że co się nakradłem, to moje, ale to świętoszków nie obchodzi, gdyż jestem politycznym trupem. Gdybym był byłym prezydentem, Miller liczyłby mi łyżki ukraińskiego barszczu.

Świętego Emila

Agnieszka Wołk-Łaniewska i Daniszewska robią furorę swoimi „Dialogami dam w drodze do kościoła”. Cóż sprawia to wzięcie? Paradoks, że damy, a do kościoła? Klęska feminizmu: idą, idą, a nigdy nie dojdą? Żałosne ubóstwo życia seksualnego w wielkim mieście? Flagowe zakłamanie, bo jedna boi się matki, a druga córki? Trzeba by wystawić te dialogi w teatrze i żeby autorki grały chodzonego.

Świętego Didiera

Polscy rolnicy zaprzestali dojenia krów, gdyż wolą doić Unię Europejską. Z tęsknoty za krowami oddadzą więc swe głosy na eurosceptyków albo eurodurniów z SLD. Ryszard Kalisz, który powinien się nazywać co najmniej Ryszard Paryż, to jedyny zacny, mądry polityk, o którym nikt nigdy, od faszystów po lewaków, nie powiedział złego słowa. Żywy paradoks: prawy prawnik.

Cd. św. Didiera

Wyrwano mi siedem zębów z siedmiu, jakie miałem w dolnej szczęce. Gdy w trakcie rwania otwierałem oczy, przysiągłbym, że ręka trzymająca krwawiące cęgi należy do Jarosława Kaczyńskiego.

Jak już wspomniałem, kupiłem nowe zęby i teraz boli mnie każdy okruszek jedzenia. Gdy płaci się za uzębienie jak za Mercedesa, powinno ono mieć wycieraczki.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Cd. św. Didiera

Ponieważ nadchodzi okrągła rocznica wyzwolenia obozu w Oświęcimiu przez armię radziecką, prawicowa prasa boi się, że na obchody przyjdzie Putin. Przy tej okazji czytamy, że wojska „sowieckie” obóz wyzwoliły, a cały dookoła kraj zniewoliły. Jak to technicznie czynili? Ukradli Polakom wolność i zawieźli tę zdobycz za oświęcimskie druty?

Świętego Donatana

Przed wyborami media z zapałem niszczyły Korwin-Mikkego, nie dostrzegając w panu Januszu cennej rozrywki umysłowej. Korwin w muszce mówi bzdury przeciwne obiegowym przekonaniom, poczem do świata nonsensu wprowadza racjonalną argumentację. Sztuka ta zachwyca i bawi przekorną młodzież. Gdyby przeciw Korwinowi spokojnie argumentować zamiast tryskać oburzeniem, ćwiczyłoby to młode umysły. Np. sztukmistrz w muszce: „Nie ma dowodu, że Hitler wiedział o wymordowaniu Żydów”. Nie ma dokumentu na piśmie, a o Holokauście mówiono „ostatecznie rozwiązanie”, jak gdyby chodziło o sznurowadła. Ale przecież warto z Korwinem porozmawiać, jak sobie to wyobraża: bez wiedzy dyktatora uruchamia się wielki aparat państwowy, liczne resorty do wykonywania długotrwałej zbrodni, o której szef nie wie? I wierzy wraz z narodem, że sześć milionów ludzi znika po „wywózce na wschód”, czyli do jakiegoś rezerwatu np. pod Lublinem?

Twierdzenie Korwin-Mikkego o niższości kobiet to świetny pretekst do przedstawienia wyników badań o zakresie i źródłach zróżnicowań głównie kulturowo-obyczajowych. Gdy zaś człowiek w muszce wątpi w gwałty na kobietach, to daje pretekst do roztrząsania wcale niełatwej dla sądów sprawy przekraczania granic przyzwolenia w seksie. Pan Korwin to fenomenalna rozrywka umysłowa. I nie wymaga zasilania.

Świętych Męczenników

Skazano bydlaków, którzy obrażali prof. Zygmunta Baumana. „Gazetę Polską” to oburza, bo za młodu Bauman był oficerem wojsk wewnętrznych PRL, czyli „zbrodniarzem”. I tym oficerem sprzed 70 lat Bauman dla nich został, chociaż od dziesięcioleci jest największym na świecie myślicielem z Polski i zajmuje się m.in. krytyczną analizą totalitaryzmów. Wyobraźmy sobie taką analogię. Jest rok 1950: Urban, młody stalinowiec, krzyczy na wiecu ZMP: „Precz ze Stalinem!”. Aresztują go i pytają dlaczego. Odpowiadam, że według mnie tow. Stalin ma obrzydliwą przeszłość – uczęszczał do seminarium duchownego.

Świętego Buzeta

Moje ostatnie lektury, które polecam: Ewa Łętowska i Krzysztof Pawłowski „O prawie i o mitach”. Przypomniało mi się, że po wojnie przez cztery lata w gimnazjum pobierałem historię starożytną, mity greckie i grekę (tak!). Te komunistyczne tortury spłynęły bez żadnego śladu. „Rok 1913”. 100 lat temu, czyli prawie tak dawno temu jak brewerie Zeusa, mój ojciec był już studentem, a matka gimnazjalistką. Dalej Jerzego Eislera „Siedmiu wspaniałych” o pierwszych sekretarzach PZPR. Znałem lub znam osobiście tylko trzech ostatnich. Robert Karwowski „Czas gniewu”, Andrzej Leder „Prześniona rewolucja” – znakomite. Piskorskiego „Między nami liberałami” nie mogłem zmęczyć. Kryminał Roberta Galbraitha, czyli pani Rowling „Wołanie kukułki”. Od czasów Agaty Christie wielcy od kryminałów (Simenon, Chandler itp. itd.) nadziewają swoimi zagadkami długie opowieści malujące miejsca akcji, tło społeczne. No istne Prousty. To był ostatni kryminał, jaki wziąłem w życiu do rąk. Przeczytałem z niego prawie 50 stron. Zresztą plątały mi się występujące postacie jak bogowie u Łętowskiej i Pawłowskiego. Siadam do „Himmlera” Petera Longericha. Wiosną człowiek potrzebuje trochę pogodnej niemęczącej lektury. Aha! Aż szkoda było przestać czytać „Hollywoodzkie zwierzę” Esterhasego. Dowcipne, przejmujące, malownicze, tylko tytuł jak z powieści wagonowej. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- W Kanale Zero **Krzysztof Stanowski** pokaże budowę swojego domu. W ostatnim odcinku wjedzie Wojewódzki na wykończeniówkę.
- **W Czechach** policja zatrzymała podejrzanego o kradzież czaszki św. Zdzisławy. Oboje mają pusto w głowach.
- **Radiomaryja.pl** informuje, że neandertalczycy leczyli próchnicę zębów. No ba, Mamut-dent istniał w każdej osadzie.
- **Karol Nawrocki** zaadoptował niedźwiedzia w Rumunii. Odważny człowiek zaadoptowałby niedźwiedzia z Krupówek.
- **Posłowie KO** chcą, by zwierzęta domowe mogły odwiedzać chorych w szpitalach. Pluskwy domowe już tam są.
- **Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi** rozpoczęło promocję polskiego ziemniaka. Jeśli chodzi o promocję, to pamiętajmy, że polskiego ziemniaka się również pije.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Aluzja na biało

Podczas powitania, ale i pożegnania D. Trumpa w Pekinie, obok kompanii honorowej przywódców witały ustawione w równych rzędach, rytmicznie powiewające miniaturkami flag USA i Chin dzieci i młodzież ubrane na biało. (...) Mogłem tylko oszacować, że było tam ponad 100 osób, może 120. To tyle, ilu uczniów zginęło w bestialskim amerykańsko-izraelskim ataku z 28 lutego na szkołę w Minabie w Teheranie. Przywódca wolnego świata (...) był zachwycony tym pokazem, bo pewnie nie dostrzegł zawoalowanej aluzji. Twierdzi bowiem, że to nie amerykańska armia wystrzeliła pocisk Tomahawk w kierunku tej szkoły. Chińczycy mają w tradycji szacunek dla zmarłych, a kolor biały wszędzie symbolizuje czystość i niewinność. Świat powinien pamiętać o tej zbrodni. (...)

Jerzy Dryzek

Roki papieskie

W (...) nawiązaniu do projektu uchwały sejmowej dotyczącej ustanowienia 2027 r. „Rokiem Objawień Matki Boskiej Gietrzwałdzkiej” myślę, że kolejne kilka lat będzie okresem „wzmożenia religijnego” odnośnie do osoby JP2. (…) Prawdopodobnie zgłaszane będą inicjatywy mające na celu upamiętnienie (...) rocznic związanych z JP2:

1. 2028 r. – 50. rocznica wyboru na papieża.
2. 2029 r. – 50. rocznica pierwszej pielgrzymki do Polski, 15. rocznica kanonizacji.
3. 2030 r. – 110. rocznica urodzin i 25. rocznica śmierci.
4. 2031 r. – 50. rocznica zamachu, 20. rocznica beatyfikacji.

Rok 2027 to będzie rok wyborczy, więc pewnie upamiętnienie 50. rocznicy wyboru JP2, przypadającej w 2028 r. będzie jednym z tematów podgrzewanych przez określone partie, natomiast w 2030 (rocznica urodzin i śmierci JP2) będą wybory prezydenckie, więc pewnie w 2029 zaczną się inicjatywy aktualnego prezydenta w tej kwestii.

PS

eprasa.pl fefc40b2c9



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Jak Zielony Ład wykańcza najlepszą kopalnię w Polsce

Ekoszwindel

Tysiące związkowców z wszystkich central związkowych protestowały w środę w Warszawie przeciwko Zielonemu Ładowi. Związkowcy są zgodni co do tego, że instrumenty finansowe i spekulacyjne kryjące się za Zielonym Ładem nijak się mają do oficjalnych celów zapisanych w deklaracji UE. Na dodatek polskie władze ignorują obowiązek paktu społecznego na rzecz transformacji energetycznej. Nie podjęto żadnych rozmów ani kroków w tej sprawie. Na razie jedynymi widocznymi skutkami Zielonego Ładu jest coraz droższa energia, wypieranie rodzimego przemysłu i utrata miejsc pracy. Dlatego głównym hasłem manifestacji było żądanie referendum, w którym społeczeństwo zdecydowałoby, czy Zielony Ład przyjąć, czy odrzucić. W proteście uczestniczyli m.in. górnicy z Bogdanki, bo los tej kopalni jest znakomitym przykładem dewastującego wpływu Zielonego Ładu na gospodarkę kraju i życie ludzi.

Za dobrzy, by żyć

„Za dobrzy na transformację – w sam raz do likwidacji" – alarmowali dwa lata temu związkowcy z kopalni Lubelskiego Węgla Bogdanka, kiedy usłyszeli, jaką strategię transformacji energetycznej przyjęła grupa kapitałowa Enea po zmianie kierownictwa w 2024 r. Bogdanka była najlepszą – superwydajną i dochodową – kopalnią w Polsce, a swego czasu w Europie. Strategia polega zaś na likwidacji energetyki węglowej bez niczego w zamian. I jest ona już realizowana w Bogdance.

„Bogdanka jest po prostu jest za dobra, żeby ją, ot tak, zamknąć. Trzeba zrobić wszystko, żeby była nierentowna albo po cichu udusić. Taką właśnie politykę przyjęto w grupie kapitałowej Enea. Dlaczego? W imię zasad. Zasad Zielonego Ładu, a w tym ładzie tylko dolar jest zielony" – pisali związkowcy w mediach. Bez odzewu. Nasz protest głodowy w styczniu zeszłego roku (mówiłem o nim w rozmowie z „NIE", nr 6/2025) zwrócił na chwilę uwagę właściwych ministerstw, których wówczas były trzy i żadne nie czuło się odpowiedzialne za Bogdankę. Doszło do kilku spotkań, gdzie padły nic nieznaczące obietnice. Nie ustalono nawet, z kim strona związkowa ma rozmawiać o zabezpieczeniach na wypadek likwidacji. Zabezpieczeń takich Bogdanka obecnie nie ma.

Nie wiadomo nic. Wiadomo tylko, że zarząd LWB tak zarządza, że w zeszłym roku nie wykonał planu produkcji. Zdaniem związkowców z NSZZ „Solidarność" i ZZ „Przeróbka" – wyłącznie przez błędy w planowaniu i niewłaściwie dobrane technologie. Tych błędnych założeń zarząd się arogancko trzymał mimo wielu fachowych głosów krytyki.

Odpowiedzialnością za niewykonanie planu prezesi obarczyli załogę i nie wypłacili całości ustalonego na 2025 r. funduszu płac; w skali roku oznacza to dla każdego pracownika 6 tys. zł mniej, niż ustalono w porozumieniu.

Rozmach zarządu widać i w tym roku. Już po pierwszym kwartale Bogdanka jest pod kreską. Będąca właścicielem większościowym Enea zmusiła własną spółkę do ustalenia na rok 2026 cen węgla tak skandalicznie niskich, że nawet przy wykonaniu produkcji nie zapewnią rentowności. A wymusiła dlatego, że na krajowym rynku węgla wobec Bogdanki w Polsce od lat stosuje się bandyckie zasady. Kopalnia spokojnie konkuruje z cenami węgla w portach ARA (Amsterdam–Rotterdam–Antwerpia) jako cenami referencyjnymi. Przegrywa jednak na rynku krajowym, gdzie jako jedyna musi konkurować z dumpingiem śląskich kopalni, które – w odróżnieniu od niej – korzystają z dopłat.

W Polsce elektrownie kupują najtańszy węgiel od polskich kopalni. Realnie najtańsza kilowatogodzina pochodzi z węgla. Reszta rachunku wynika ze spekulacji rynkowych, co jest absolutną winą kolejnych rządów, które zamiast podjąć rozmowy o prawdziwej transformacji, zadowoliły się ułomną umową społeczną z 2021 r. W skrócie: umowa polega na tym, że kopalnie przeznaczone do wygaszenia do 2049 r. uzyskują rządowe dopłaty do swego deficytowego węgla.

Nie jest to jednak żadna umowa o transformacji. Na pewno nie dla Bogdanki, bo dla niej pieniędzy nie przewidziano. Zarząd, zamiast głośno krzyczeć, że to rozbój, a nie negocjacje cen, fantazjował o tym, jak odpowiada na wyzwania rynku, a rada nadzorcza ceny klepnęła. Protestowali jedynie związkowcy – na spotkaniu z przedstawicielami zarządu Enei w Kozienicach 7 maja 2026 r.

Przecież jest ok…

Nie tylko w roli menadżerów prezesi błysnęli jak chrząstka w salcesonie. Jako fachowcy od wydobycia też idealnie pasują do scenariusza wygaszania. Związkowcy widzą konkretne merytoryczne błędy w planowaniu produkcji, jednak nie mogą ich ujawnić, bo są to dane wrażliwe, za których publikację grożą milionowe kary finansowe.

To, co można ujawnić, to dziwaczny zbieg okoliczności polegający na tym, że w Bogdance są trudności lub awarie wtedy, kiedy w kraju jest zapotrzebowanie na węgiel. Co więcej, zwykle związkowcy z wyprzedzeniem wiedzą, że coś takiego się wydarzy. Przed pewnymi inwestycjami przestrzegali wcześniej. Słowem: jak można zarobić, w Bogdance węgla brak. Trudno uwierzyć, że to przypadek.

I co zrobić z takim zarządem? Klęska marketingowa, technologiczna i klęska w relacjach z załogą. A rada nadzorcza wybiera go na drugą kadencję! Wobec manifestacji, publikacji, wystąpień, głodówki czy pikiet – rząd i prezesi kopalni najwięcej energii włożyli w wyciszanie protestów i propagandę sukcesu. Do samego końca twierdzili, że wszystko idzie super. Prezes do spraw technicznych Bartosz Rożnawski zakładał się z nami, że wykona plan, a tydzień później zorganizował dla oddziałów wydobywczych imprezę integracyjną, która miała zachęcić górników do szybszych postępów ściany i pracy w weekendy. Związkowcy mówili, że prezes uprawia hazard żywymi ludźmi. – Ale w czym właściwie widzicie problem? – pytali politycy, także ci lokalni. – Przecież kopalnia dobrze działa…

Dotychczas działała dlatego, że takie strategie wobec Bogdanki zwalczano w zarodku. Dziś zarząd posłusznie i ślepo wykonuje narzuconą mu z zewnątrz politykę. Politycy niby wiedzą, jaka katastrofa czeka region bez kopalni, ale dziś nikt poza związkami zawodowymi nie mówi prawdy: że rząd świadomie pozwala niszczyć Bogdankę, kopalnię specyficzną i potencjalnie strategiczną dla Polski. Dziś przejada ona własne rezerwy. Nie ma żadnych zabezpieczeń – ani dla firmy, ani dla załogi, związkowcy nie mają z kim rozmawiać, a zagrożenie jest potężne.

Od prawie 30 lat, niezależnie od zmian politycznych i gospodarczych, Bogdanka ciągle się rozwijała i modernizowała. Stawała się coraz bardziej nowoczesną i wydajną kopalnią. Przynosiła coraz większe zyski i znacząco zasilała budżety państwa i gmin, płacąc sowite podatki. Planowano, że będzie ostatnią kopalnią do zamknięcia, a być może przetrwa transformację, bo jakaś ilość węgla na pewno będzie potrzebna. Przemawiały za tym twarde dane ekonomiczne i technologiczne. Jednak okazało się, że nic w Polsce nie jest na tyle dobre, żeby nie można było tego popsuć. Właściwie z dnia na dzień w centrali powiedziano, że Bogdanka ma przed sobą 10, góra 15 lat.

W perspektywie nie mamy więc nic oprócz agonii, upadku i przymusowej emigracji – bo brak widoków na inne, dobre i stabilne miejsca pracy. Takie jakie dotychczas zapewniała Bogdanka: i bezpośrednio, i pośrednio, poprzez dobre dochody i wzrost siły nabywczej miejscowej ludności, na czym opierała się lokalna gospodarka, w której 22 proc. pracujących zatrudnionych jest w kopalni. W takim regionie jedno miejsce pracy w kopalni przynosi co najmniej cztery w otoczeniu firmy, w usługach publicznych i prywatnych. Mówimy zatem o 15 tys. miejsc pracy w 50-tysięcznym powiecie. To klasyczna monokultura przemysłowa: kiedy pada duży zakład, pada region. A ten region to nie Śląsk; to pozbawiona infrastruktury Lubelszczyzna.

Według obliczeń prowadzonych pod kierunkiem Jana Oleszczuka-Zygmuntowskiego z Polskiej Sieci Ekonomii koszt odtworzenia jednego miejsca pracy w otoczeniu Bogdanki może być 4–12 razy wyższy niż w gminach śląskich. Nic dziwnego, że taniej udusić po cichu.

Nie ma nikogo, kto zaprzeczyłby argumentom związkowców. Wszyscy je podzielają, zapewniają, że Bogdanka nie ma prawa upaść, i dalej udają, że nic się nie dzieje.

Oszczędzamy bez względu na koszty

W rozmowach o transformacji wygodniej przemilczeć i wyciszyć niewygodne dla korporacji i szemranych grup interesów informacje, że nawet przy największym rozwoju OZE w podstawowym systemie energetycznym muszą pracować stabilne źródła energii. Do nich zalicza się energetyka węglowa. To jest to, czym dysponujemy jako kraj i jesteśmy w tym niezależni od nikogo. Tymczasem rząd postanowił, że paliwem przejściowym będzie gaz, który trzeba importować. Póki mamy węgiel, jesteśmy w miarę niezależni od wahań cen gazu – a jak niedawno się okazało, mogą one wzrastać skokowo do bardzo wysokiego poziomu. W przyszłości planuje się, że stabilnym źródłem energii ma być atom. W jakiej przyszłości – nie wiemy, ale już ochoczo przystępujemy do likwidacji tego, co mamy.

Pracownicy branży energetycznej – w tym górnictwa – nie mogą być ciągle postrzegani jako relikt przeszłości i grupa, którą trzeba w końcu jakoś spacyfikować, wygasić. Nasze argumenty – że tzw. Zielony Ład to w istocie greenwashing i spekulacja finansowa, czyli po naszemu ekoszwindel – są przyjmowane do wiadomości również przez organizacje ekologiczne. Kilka faktów powinno każdemu, kto nie żyje w świecie iluzji, dać przynajmniej powód do sceptycyzmu; a lewica to już powinna aktywnie jebać Zielony Ład.

Likwidacja bloków węglowych przyniesie redukcję miejsc pracy w górnictwie i energetyce. To pierwszy poważny koszt dla pracowników i społeczności z okolic Łęcznej, Kozienic czy Połańca. Zysk dla odbiorców żaden, bo opłaty emisyjne dotyczą też zasilania gazem, więc obniżki cen energii nie przyniosą. Zyskają importerzy i zagraniczne koncerny. Np. niemieckie, które chcą inwestować w wydobycie węgla w Chinach czy w Indiach. Tu się nic nie zgadza poza zwyczajowym założeniem rynków, że zyski zostaną sprywatyzowane, a straty uspołecznione – przy czym założenie to mają wykonać w Polsce spółki skarbu państwa.

Tłumaczy się nam, że ochrona klimatu przyniesie tanią zieloną energię, jakiej wszyscy chcemy. Kłopot polega na tym, że nikt nie pyta, ile to będzie kosztować. Przypomina mi się prześmiewcze hasło PRL: oszczędzajmy bez względu na koszty. A koszty będą.

Czeka nas przerzucenie miejsc pracy do krajów, gdzie koszt siły roboczej jest dużo niższy, co nie wynika z ekonomicznego cudu wolnego rynku i niskich podatków, ale z eksploatacji ludzi i zasobów biednych krajów, gdzie władzę często sprawują reżimy udostępniające nieomal niewolniczą siłę roboczą. Za takie obniżenie kosztów, co zwiększy zysk – i nieco obniży cenę, żeby nabywca się cieszył i zamiast robolem poczuł się konsumentem – pracownicy zapłacą i tu, i tam. Jedni utratą dobrej pracy i dochodu, drudzy niewolniczą pracą.

Zielona energia jeszcze długo nie wyprze węglowej energetyki z globalnej gospodarki, a w okresie przejściowym prognozy przewidują zastąpienie węgla europejskiego węglem wydobywanym poza Europą.

Europa – w tym Polska – ma zapasy węgla, które pozwoliłyby na zaspokojenie potrzeb w okresie przejściowym do pełnej dekarbonizacji. Zdecydowano się jednak na węgiel z importu. Decyduje więc wyłącznie ekonomiczny interes.

Zarobić na zabiciu

Nie pierwszy raz górnicy zwracają uwagę na pułapki i hipokryzję Zielonego Ładu. Jednak wszystko to dyskutowane jest tylko w branżowej niszy, a przecież ma wpływ na całe państwo. To nie tylko kwestia cen energii dla indywidualnych odbiorców – to być albo nie być całego przemysłu i rolnictwa.

Energetycy, górnicy i rolnicy protestują przeciw Zielonemu Ładowi nie dlatego, że nie chcą czystego środowiska. Oni widzą w nim przede wszystkim zagrożenie dla swojej egzystencji – bo w istocie Zielony Ład jest czysto ekonomicznym instrumentem. Wystarczy wspomnieć o opłatach za emisję CO_2, z których nic dla klimatu nie wynika, za to stały się narzędziem gromadzenia spekulacyjnego kapitału. I to spekulanci mają wymierne zyski z Zielonego Ładu. Zysków społecznych, które ten ład miał przynieść, nie widać i długo nie będzie można zobaczyć; za to straty społeczne już są i na pewno będą wyższe. Na spotkaniach ze związkowcami z branży większość polityków z tym wszystkim się zgadza. Ale co poradzić? To nam narzuca UE – mówią. *Unia locuta, causa finita.*

Sytuacja Bogdanki i okolic jest tutaj szczególna. W regionie, gdzie o gospodarce decyduje jeden duży zakład, niezbędne jest stworzenie dokładnego planu restrukturyzacji i podpisanie wiążącej umowy społecznej. Bez tego zapowiedzi o likwidacji są antyspołeczne i skandaliczne. Tym bardziej że z informacji płynących z centrali Enei wynika, że rząd ma zamiar zlikwidować najlepszą polską kopalnię w białych rękawiczkach, rękami jej właścicieli. Związkowcy podejrzewają, że

Enea na zarżnięciu własnej dochodowej spółki górniczej może dobrze zarobić, pozyskując pieniądze na likwidację górnictwa. Mogłaby zarabiać na jej działalności, ale, jak widać, neoliberalna doktryna ma się dobrze

– podobne jak jej korporacyjne założenia, że najlepiej optymalizować zyski, obracając finansami i pozbywając się obciążającej i kapitałochłonnej produkcji.

Dziś pracownicy i związkowcy mają wrażenie, że Bogdanka jest spółką niewygodną dla rządu, bowiem przeczy propagandzie o konieczności natychmiastowej likwidacji górnictwa. I dlatego Bogdankę należy zarżnąć jak najszybciej: żeby już bez żadnych przeszkód i dysonansów w publicznym przekazie likwidować to, co przeszkadza kapitałowi w nieludzkiej optymalizacji zysków i upychaniu ton mało efektywnego sprzętu OZE, w który zainwestowały rynki.

JAROSŁAW NIEMIEC

Autor jest przewodniczącym Związku Zawodowego „Przeróbka" w LW Bogdanka.

eprasa.pl fefc40b2c9

Władzę w PiS trzyma kuzyn

GADMAN

Ceremonie pogrzebowe

Prezes umiera powoli. Jak Berenger I, bohater modnego za czasu prezesowej młodości dramatu Ionesco. Pan i władca, który w latach swej świetności potrafił zmuszać siły natury i poddanych do bezwzględnego posłuszeństwa. Teraz jego królestwo rozpada się. Wie, że musi już odejść, ale nie chce się z tym pogodzić. Nie ma też dokąd pójść. Skoro nie będzie już rządzić jak kiedyś.

Prezes umiera osamotniony. Nie ma przy nim opiekuńczej pani Basi. Odprawił już „zielarkę z Łodzi". Bo ponoć „chytrą babą" się okazała.

W sejmie szepczą, że posprzeczał się także z dawnymi przyjaciółmi z pierwszego zakonu PC. Też już niemłodymi.

Nawet z marszałkiem Ryszardem Terleckim prezes drze teraz koty. Nie wpiera go wystarczająco silnie w zarządzanej przez niego ziemi krakowskiej. A tam młodsze partyjne wilczki chcą wydymać starego lisa. Takie są koleje losu. Lider rządzi, rządzi, starzeje się w międzyczasie, aż pojawi się wataha młodych i zaczyna go dymać. Zawsze tak było, że młodzi dymają starszych, jak polityczny świat światem.

Władca ucha

Prezes słabnie, to widać, słychać i czuć. Rządzi nadal, ale już nie ze swego domu. Musiał się wyprowadzić ze słynnego bliźniaka, pudełkowej willi w stylu gomułkowskim zbudowanej na stołecznym Żoliborzu. Bo druga połówka historycznego gniazda rodu Kaczyńskich została niedawno komercyjnie sprzedana. I nowi właściciele robią generalny, uciążliwy dla sąsiada remont.

To zrozumiałe, bo ów kultowy budynek zastygł estetycznie i cywilizacyjnie od czasu swego powstania. Wygląda najbardziej dziadersko pośród innych na całej ulicy.

Za czasów rządów PiS nikt prezesowi spokoju nie śmiał zakłócić. I nie mógł. Przez całą dobę dyżurował w pobliżu przynajmniej jeden policyjny samochód, wzmocniony patrolami tajniaków. Spacerując ulicą przed domem prezesa, można było przystanąć, jak w Mauzoleum Lenina na kilka sekund, a potem szybko przechodzić dalej. Mowy nie było o robieniu zdjęć, nawet telefonem komórkowym. Lizusowscy funkcjonariusze potrafili osobę fotografującą wylegitymować i strategiczne dla bezpieczeństwa państwa wszystkie focie wykasować.

Za rządów Tuska policja odjechała, a tajniacy przeszli w stan profesjonalnego utajnienia. Wtedy właściciel drugiej połówki bliźniaka skorzystał z chwili wolności i swoją nieruchomość sprzedał. Ekipy remontowe nowego właściciela wypłoszyły pragnącego spokoju prezesa. To wielce wpłynęło na efektywność zarządzania największą polską partią polityczną.

Prezes przeniósł się do mieszkania swego kuzyna traktowanego jak brata, Jana Marii Tomaszewskiego. Artysty plastyka, króla życia, brylującego na prawicowych salonach bon vivanta.

Bohatera mediów w stylu pudelkowym i mediów śledczych też. Sławę pan Jan Maria zyskał po 2016 r., kiedy został doradcą zarządu kurskiej TVP ds. teatru. Miał zarobić tam za doradztwo 2 mln zł. Był też jednym z bohaterów afery dwóch wież, które powiązana z PiS-em spółka Srebrna chciała wybudować w Warszawie. Jak pisał „Newsweek", inwestycją miał się zająć Austriak Gerald Birgfellner, prywatnie zięć Tomaszewskiego.

Obecną towarzyszką życia pana Jana Marii jest artystka Beata Fido. Zdolna kiedyś aktorka, która miała nieszczęście zagrać rolę dziennikarki w kultowym dla prawicy filmie „Smoleńsk". Scenariuszowej idiotki popierającej najpierw Tuska, ale wrażliwej też na PiS-propagandę. Dlatego w finale nawróconej na religię smoleńską, czyli zamach na samolot. Dostała za tę kreację w 2017 r. nagrodę Złotych Węży za najgorsza filmową rolę kobiecą. No i ostracyzm liberalnego środowiska.

Talent aktorski tym roztrwoniła, ale kasę na podobnych doradztwach w kurskiej TVP też zarobiła. Co wzmogło zawiść aktorskiego środowiska.

Dziś nadal piękny, żywotny, 76-letni Jan Maria Tomaszewski krzepko dzierży dwie strategiczne komórki. Formalnie posiadaną przez prezesa, ale rzadko przez niego używaną, i komórkę z własnym numerem. Obie dające mu wielką władzę. Bo dziś, jak twierdzą dziennikarze i politycy, to pan Jan Maria stale odbiera oba telefony. On ma nielimitowany dostęp do ucha prezesa. Jako fachowy doradca potrafi zainteresowanym doradzić, co trzeba zrobić, aby do prezesa ze swymi sprawami dotarli. Aby nawet przekazał on komórkę przebywającemu stale u niego prezesowi.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Drugą osobą posiadającą dziś dostęp do prezesa jest jego bratanica Marta Kaczyńska. Choć stara się ona unikać polityki, to ostatnio coraz częściej kręcą się wokół niej przeróżni pragnący coś jeszcze od prezesa wydusić. Marta Kaczyńska formalnie jest prezesem stowarzyszenia Ruch Społeczny im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Ale jest to obecnie martwe politycznie stowarzyszenie. Zasiada też w fundacji im. Lecha Kaczyńskiego, która jest powiązana ze spółka Srebrna. Spółka zarabia na wynajmie biur i parkingu w Warszawie.

Bratanica prezesa jest z zawodu adwokatem. Publikuje też firmowane swoim nazwiskiem felietony w prokaczyńskim tygodniku „Sieci". Wspierała Karola Nawrockiego w czasie kampanii wyborczej. Dystansuje się od radykałów „religii smoleńskiej". Otrzymała bowiem 3 mln zł odszkodowania z tytułu polisy na życie rodziców. Było ono możliwe do uzyskania w razie wypadku lotniczego, ale nie aktu terrorystycznego, bo taki nie był polisą objęty. Odszkodowanie rzecz jasna wzbudziło zawiść wśród naszych rodaków.

Pani Marta Kaczyńska na prawicy uchodzi za dobrą księżniczkę, która potrafi coś na dworze wujka prezesa załatwić. Zwykle są to jakieś sprawy ludzkie, krzywdy zwierząt. Czyni to ponoć bezinteresownie.

Mateusz idzie

Kiedy władza prezesa słabnie, kiedy jego „dwór" przypomina teatr absurdu, rośnie siła posła, byłego premiera Mateusza Morawieckiego. Młodszego od prezesa Kaczyńskiego, ale już nie młodego politycznego wilczka.

Morawiecki jako bankster i technokrata nigdy nie był popularny wśród partyjnego aktywu PiS. Nie był „królową ludzkich serc", jak jego poprzedniczka premier Beata Szydło. Po utracie władzy przez Zjednoczoną Prawicę, po przejściu do opozycji, prawicowi parlamentarzyści widzieli Morawieckiego na politycznej emeryturze. W kraju lub w Parlamencie Europejskim.

Skoro jako bankster i premier Morawiecki zdołał zgromadzić olbrzymi majątek, to teraz mógłby sobie pożyć wygodnie. Urozmaicając nudę egzystencji występami na międzynarodowych konferencjach. Zapotrzebowanie na wygadanych byłych premierów zawsze jest.

Zamiast tego były premier rozpoczął marsz ku odzyskania władzy. Najpierw w niechętnej mu partii.

Dziś lekceważony, niedawno wyśmiewany jako „premier Pinokio" lub „Mateusz Krzywousty", wyrasta na następcę prezesa Kaczyńskiego. Choć wcześniej prezes namaścił na takiego kandydującego wielce popularnego w partii Przemysława Czarnka. Jednak ta nominacja nie przyniosła oczekiwanego efektu. Nie spowodowała rozłamów w Konfederacjach, wzrostu poparcia wyborczego dla PiS-u.

Na prawicy dziś nie komentuje się kolejnych programowych „sroze" ogłaszanych przez „premiera technicznego" Czarnka, tylko obserwuje się ruchy byłego premiera Morawieckiego. Politycy i komentatorzy nie spekulują już, czy Morawiecki wyjdzie z PiS-u, tylko kiedy tego aktu dokona. Kiedy ten polityczny Rubikon przekroczy. Wszyscy zgodni są, że dziś PiS straci po wyjściu Morawieckiego i jego stronników. Ale też zauważają, że Morawiecki pozbawiony członkostwa w PiS-ie też tracić będzie.

Na razie jako realna, legalna opozycja wewnętrzna Morawiecki stale zyskuje. Potrafi sprzeciwić się woli prezesa, co daje mu uznanie wśród młodych wilczków. Zwłaszcza kiedy niby stopując rozwój swego stowarzyszenia, stale pozyskuje nowych członków.

Gra na nosie starego prezesa. Kiedy on i jego współpracownicy nie tylko dystansują się od niepopularnych uciekinierów Ziobry i Romanowskiego. Kiedy deklarują, że oni nie stchórzą przed wymiarem sprawiedliwości. Stawią się na każde przesłuchanie, nawet wrogich politycznie prokuratorów, aby tutaj dowodzić swych niewinności.

Morawiecki codziennie pojawia się w mediach, przede wszystkim lokalnych, nie tylko prawicowych, gdzie jawi się jako nowoczesna, nie dziaderska, prezesowska prawica. Uderza tym w konkurencyjną w PiS-ie frakcję „maślarzy". Reprezentowaną przez polityków znacznie mniej aktywnych i słabszych intelektualnie. Morawiecki i jego drużyna będą w PiS-ie tak długo, jak będzie się im opłacać. Będą testować poziom uległości prezesa Kaczyńskiego wobec nich.

Stare PiS odchodzi wraz ze słabnącym prezesem. Nowe pod przewodem Morawieckiego rodzi się jako inne. Bardziej nowoczesne, zdolne do koalicji z innymi partiami. Bojowe. Muszą walczyć, zwłaszcza gdy po schedę ruszy przyczajony dziś prezydent Nawrocki.

PIOTR GADZINOWSKI

Miejmy odwagę nie płakać po amerykańskich żołnierzach

„Jankeska soldateska to rozwydrzone żołdactwo amerykańskie, które całymi dniami nic nie robi, tylko wyleguje się na maskach Jeepów, pije pornograficzny płyn Coca-Cola, a myśli tylko o prostytutkach" – nauczał w latach 50. wykładowca studium wojskowego UW, którego nazwisko niestety zatonęło w odmętach historii. I wiecie co? Im więcej słyszę o tym, jak bardzo pragniemy amerykańskich butów na naszej ziemi, tym bliżej mi do anonimowego autora tej błyskotliwej definicji.

Skrzywdzeni

Służalczość wobec USA w języku polskich elit stała się tak naturalna, że przestaliśmy zwracać na nią uwagę. Obecna dyskusja nad znikającymi czterema tysiącami żołnierzy USA znakomicie to ilustruje.

Politycy i media wszelkiej maści bezkrytycznie przyjmują założenie, iż żołnierze amerykańscy są darem niebios i wszyscy ich pragniemy. Osobiście złoty medal w tej dziedzinie przyznaję (cenionemu przeze mnie skądinąd) red. Piaseckiemu z Tefałenu: „W polskiej polityce i też polskich obywatelach jest głębokie przekonanie, że kto jak kto, ale Polska jest przez Amerykanów traktowana szczególnie, i o Polakach i Polsce myślą oni jako o kraju, którego krzywdzić takimi redukcjami nie można"…

W odróżnieniu od red. Piaseckiego nie czuję się skrzywdzona redukcją obcego personelu wojskowego, który nie podlega polskiemu prawu, ale za to jest na polskim żołdzie. Amerykanie nie odpowiadają przed polskimi sądami i nie płacą za wykorzystanie polskich baz ani za wikt i opierunek. Za to my płacimy 15 tys. dol. rocznie za każdego amerykańskiego żołnierza – co oznacza, że bratnia armia działa jak firma ochroniarska. Czy też może raczej rekiet chroniący nas przed zagrożeniem, które sam stwarza.

Fraza: „Amerykanie bronią bezpieczeństwa Europy" znajduje się w zasadzie w każdym wystąpieniu w jakikolwiek sposób dotykającym relacji transatlantyckich. Nie dalej niż we wtorek wygłosił ją, ot tak, Jerzy Buzek nagradzany przez Parlament Europejski: „Świat, w którym korzystaliśmy z dywidendy pokoju: taniego gazu, bezpiecznego handlu z Chinami, a Stany Zjednoczone nas broniły – ten świat już nie istnieje"…

Zwróciliście uwagę, że nikt nigdy nie pyta: przed czym? Odpowiedź ma być oczywista: przed Rosją. Rzecz jednak w tym, że od początku lat 90. – od upadku Związku Radzieckiego – Europa znakomicie porozumiewała się z Rosją, co przyniosło nam najlepsze ćwierćwiecze w historii kontynentu: taniej energii, dynamicznego rozwoju, pokoju i bezpieczeństwa. Nie potrzebowaliśmy – my, Europejczycy – żeby ktokolwiek bronił nas przed Rosją, z którą robiliśmy obopólnie korzystne interesy. Ten fundament regionalnego pokoju był jednak systematycznie podkopywany przez – no właśnie – ekspansję amerykańskiego imperializmu.

Bezczelni

O zobowiązaniach dotyczących nierozszerzania NATO „ani o cal na wschód" – zaoferowanych ZSRR przez USA w 1990 r. w zamian za zgodę Gorbaczowa na zjednoczenie Niemiec – pisałam wiele razy, więc już się nie będę powtarzać.

Odnotuję tylko, że obecny prezydent USA nie tylko zachwiał świato-

Tytanicy przedsiębiorczości

Jak rządzić krajem, którego się nie zna?

Poszukiwacze dezinformacji w przestrzeni medialnej mieliby uciechę, gdyby byli niezależnymi dziennikarzami. Wystarczy wziąć na warsztat naczelnego stand-upera kraju. Premier jednego dnia zapowiada na pojutrze ruską inwazję, drugiego zaś ogłasza Polskę najlepszym miejscem do życia na planecie – jak przystało na 20. PeKaBek świata, może nawet wszechświata.

Koledzy wujka Finka

Fircyk w zalotach do kapitału znów znalazł swoją publisię. Bo właśnie odbywał się konwentykiel nadwiślańskich liberałów w Poznaniu: sami tytanicy przedsiębiorczości w biznesie, w nauce i w kulturze. Ludzie nowi, beneficjenci neoliberalnej transformacji. Mogą sobie gratulować karier zrobionych na prywatyzacji majątku tworzonego przez pokolenia Polski Ludowej, na otwieraniu rynku dla produktów zachodnich firm, na pracy dla zachodnich korporacji w roli specjalistów do wszystkiego, na umacnianiu hegemonii finansowej i ideologicznej swoich nowych mocodawców. Słowem, kompradorzy znad Wisły. Znów cały naród buduje fort Bolanda!

A jaka jest rzeczywistość za kotarą Poznań Congress Center?

Według rankingu World Happiness Report 2026 poczucie szczęścia Polaków z miejscówkami między Bugiem a Odrą jest takie sobie. Polacy plasują się na 24. miejscu – jak zwykle za całą Skandynawią, ale nie tylko. Przed nami Czesi i zamorscy przyjaciele „dwupłucnej" prawicy – Amerykanie.

Bardziej rzetelny jest pomiar jakości życia Human Development Index. Mierzy on oczekiwaną długość życia (a tu dramat z ochroną zdrowia), oczekiwaną liczbę lat edukacji, czyli dostępu do wiedzy. I jako trzecia składowa – poziom dostatku, przyzwoitego standardu materialnego; tu miarą jest dochód narodowy brutto per capita. Według tego indeksu Polacy plasują się obecnie na 35. miejscu – jak zawsze za Czechami i Słoweńcami. Premier woli wyniki ankietowego pomiaru rządowego CBOS-u.

Dla kogo zatem Polska jest „najlepszym miejscem na ziemi do życia i spełniania swoich marzeń"? Najlepiej tutaj zagranicznemu biznesowi – kolegom wujka Larry'ego Finka. To ten hodowca finansowych pijawek w rodzaju BlackRock – firm od „zarządzania aktywami", które wysysają nadwyżkę z całego świata z wyjątkiem Chin. Polski bieda-biznes Januszów i Rafałów niewiele nadrobił dystansu do czołówki. Nie ma już co prawda folwarków pańszczyźnianych, ale pełno tu poddostawców i pracowników w nowych folwarkach: w strefach specjalnych, w mordorach usług biznesowych dla korporacji gości. Niestabilność zatrudnienia przedstawia się jako cenę wolności. To wciąż, jak w Ameryce Łacińskiej, gospodarka zależna, peryferyjna.

Montownia jagiellońska

Po pierwsze, decyduje o tym zależność finansowa. W bankach nad

eprasa.pl fefc40b2c9

Jankeska soldateska



Ilustr. PAWEŁ FERENC

wą gospodarką, napadając bez żadnego powodu na Iran – ale równocześnie ogłosił z jasnym czołem, że dla „narodowego bezpieczeństwa" wprowadza „doktrynę Donroe'a" (czyli Donaldową wersję doktryny Monroe'a). Doktryna stanowi, że USA rządzą w zachodniej hemisferze i mają prawo robić, co chcą. Np. porwać prezydenta Wenezueli albo – jak usłyszeliśmy w tym tygodniu – zbudować na Grenlandii eksterytorialne bazy wojskowe z klauzulą wieczystej amerykańskiej własności oraz mieć prawo weta wobec decyzji rządu Grenlandii co do współpracy inwestycyjnej z kimkolwiek poza Ameryką (na razie mowa o Rosji i Chinach – ale kto się założy, że weto owo nie obejmie także krajów europejskich?). Ponadto Trump oczekuje od Grenlandii pełnego otwarcia na wydobywanie przez amerykańskie firmy jej ukrytych głęboko w lodowcu bogactw naturalnych, co oznacza nieuniknioną dewastację środowiska – bo tak działają Amerykanie.

Stopień bezczelności żądań Trumpa zapiera dech w piersiach, ale nikt z amerykańskich sojuszników nie ma odwagi powiedzieć, że mamy do czynienia z państwem bandyckim, które stanowi najpoważniejsze zagrożenie dla pokoju na świecie. (Pewnym wyjątkiem jest tu Hiszpania, która nie używa aż tak wyrazistego języka, ale dość jasno wyraża swoje krytyczne stanowisko). Gdyby choć ułamek tej usłużnej wyrozumiałości, jaką zachodnia Europa okazuje Stanom, rozciągnąć na inne mocarstwa – nikt by się zaiste nie dziwił, że po mniej czy bardziej bolesnym przełknięciu rozszerzenia NATO o 15 państw dawnego bloku wschodniego Rosja wjechała na ostro, kiedy USA postanowiły podporządkować sobie militarnie kraj, z którym ma nizinną granicę liczącą ponad 1,5 tys. km. Gdyby taka myśl była obecna w głowach zachodnich przywódców – powtarzają uparcie moi dwaj ulubieni amerykańscy intelektualiści Jeffrey Sachs i John Mearsheimer – Europa uniknęłaby trwającej już cztery lata krwawej wojny; bez wątpienia zbrodniczej, ale nie niesprowokowanej.

Skancelowani

Ponieważ jednak polski dyskurs publiczny przesycony jest manicheizmem na poziomie potwora Frankensteina – Rosja zła, Ameryka dobra – to nawet dyskusja na ten temat jest zakazana. Zamiast tego obowiązuje jednomyślność.

Jak ujął to ostatnio Donald Tusk, zwracając się do Amerykanów: „Macie tutaj wyłącznie przyjaciół nad Wisłą". Poczułam się skancelowana przez premiera mojego kraju. Na pocieszenie mówię sobie, że wraz ze mną Tusk unieważnił istnienie jakichś 7 mln Polaków.

Dosłownie parę dni temu międzynarodowa firma badawcza Nira Data, budująca Indeks Postrzegania Demokracji, opublikowała wyniki sondażu przeprowadzonego między marcem i kwietniem z udziałem 94 tys. respondentów w 98 krajach, w tym 17 unijnych. Owszem – Polska jest jednym z dwóch krajów na świecie (obok Puerto Rico), gdzie ponad połowa obywateli jest za obecnością amerykańskich żołnierzy; ale owa „ponad połowa" to niespełna 51 proc. 23 proc. jest wprost przeciw, reszta nie ma zdania (albo go nie wyraziła z obawy przed zostaniem ruską onucą).

Z kolei w sondażu na temat postrzegania Stanów Zjednoczonych, przeprowadzonym w marcu na zamówienie „Politico" w Belgii, Francji, Niemczech, Włoszech, Hiszpanii i Polsce, 58 proc. Polaków – znów najwięcej w Europie – wybrało odpowiedzi pozytywne (24 proc. – „bliski sojusznik", 34 – „partner"). Ale odpowiedzi „konkurent" i „zagrożenie" miały po 13 proc.

W krajowym sondażu SW Research z maja, z pytaniem „Czy rządzący powinni postarać się o to, by większa liczba wojskowych stacjonowała na terytorium państwa polskiego?" – „tak" odpowiedziało 53,3 proc.; „nie" – 21,8. No i wreszcie z lutowego sondażu IBRiS wynika, że w ciągu trzech lat liczba Polaków lubiących Stany Zjednoczone spadła z 72 do 49 proc.

Inaczej mówiąc – nieprawdą jest, jakoby USA „miały tu samych przyjaciół". Mniej więcej co czwarty Polak nie jest przyjacielem Ameryki. Dlaczego, jakoś nikt nie bada – ale optymistycznie założę, że to ta czwarta część suwerena, która ma skłonność do krytycznego myślenia i pieni się na służalstwo elit.

Po cichutku ucieszeni

Myślę sobie zatem, iż jeśli wycofanie czterech tysięcy amerykańskich wojaków z Polski rzeczywiście byłoby zemstą urażonego Trumpa rozgniewanego naszym postulatem oddania Ziobry – to byłaby to niepodziewana zaiste korzyść z Ziobry. I będę z ogniem kibicować ministrowi Żurkowi, żeby walczył o zwrot Ziobry jak najostrzej, w nadziei, że wiadomość ta dotrze do Trumpa i rozsierdzi go poważnie. Przywódca Wolnego Świata ma dojrzałość i sposób reagowania czterolatka – za to pamiętliwość niedźwiedzia grizzly. Pomóżmy mu pogniewać się na stałe.

Tak dla porządku: ja wiem, że przy 200 mld budżetu MON, 186 mld pożyczki z SAFE i dodatkowo (jak usłyszeliśmy od premiera we wtorek) 22,5 mld z KPO na „Fundusz Bezpieczeństwa i Obronności" – żołd dla czterech tysięcy Amerykanów to kapitał na fistaszki.

Ale przecież nie tylko kasa się liczy. Na każdym kroku słyszymy, że mamy być szczęśliwi i wdzięczni za to, że możemy gościć armię najbardziej aroganckiego i agresywnego imperium świata. Nie ciesząc się, stanowimy jedną czwartą społeczeństwa, której istnieniu zaprzecza szef rządu. Szukajmy małych radości tam, gdzie się da.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

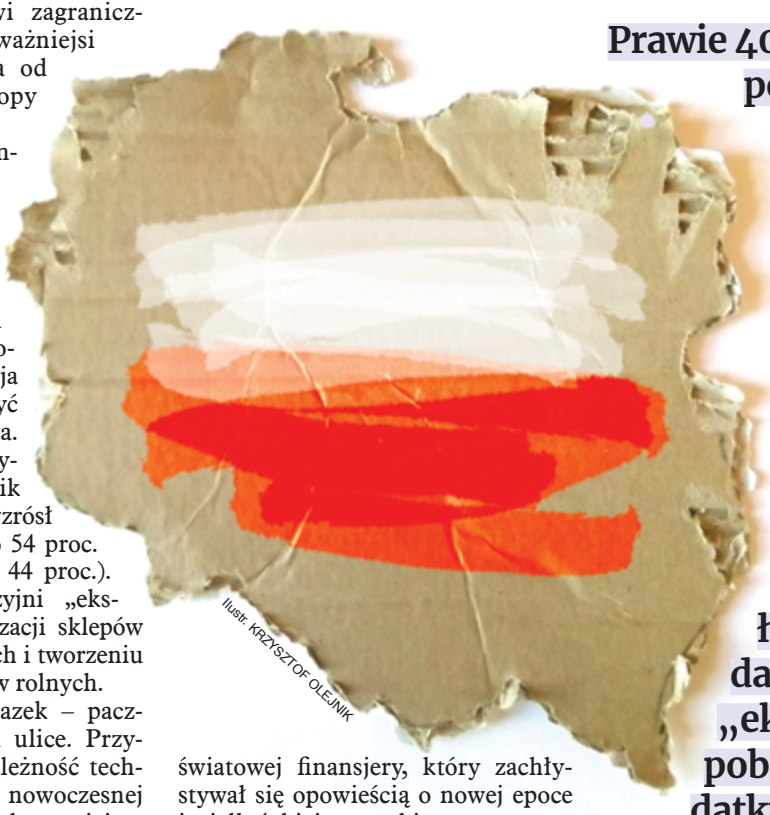
Imię: Grzegorz.
Drugie imię: Andrzej.
Nazwisko: Lorek.
Zawód wyuczony: administratywista (tak jest w Wikipedii, przysięgam).
Zawód wykonywany: poseł Prawa i Sprawiedliwości.
Lorek jest zatem 55-letnią biurwą, o której słyszał pies z kulawą nogą, pod warunkiem że to pies z Bełchatowa, gdzie Lorek rozwijał jak rozmaryn swoją karierę samorządową. Klasyczny Pan Nikt. Na palcach 20 rąk można policzyć ludzi, którzy słyszeli jego głos, a na palcach jednej po amputacji dwóch palców – tych, którzy zapamiętali to, co powiedział.
Tak było do 13 maja.
Tego dnia Lorek, zagadnięty przez dziennikarkę na korytarzu sejmowym o spierdolenie (ucieczkę, czmychnięcie, zbiegnięcie, umknięcie, pryśnięcie, zwianie, nawianie, rejteradę, dezercję) Ziobry, powiedział: „Jak ja bym był na jego miejscu, to wolałbym pójść do więzienia, bo uważam, że powinienem odpowiadać przed wymiarem sprawiedliwości".
Wypowiedź tę najwyraźniej usłyszał prezes Kaczyński, bo podczas wyjazdowego posiedzenia parlamentarnego klubu PiS w Sękocinie opierdolił (zbeształ, zganił, zgromił, skarcił, złajał, napiętnował, potępił, obsztorcował) Lorka jak burą sukę, po czym zakazał mówić o Ziobrze w podobnym tonie. Na niebie i na ziemi obowiązuje tylko jeden pisowski przekaz: prześladowany przez Tuska i Żurka Ziobro wyjechał, ponieważ w Polsce nie mógł liczyć na uczciwy proces przed niezawisłym sądem. Howgh.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Wisłą uwił sobie gniazda kapitał finansowy centrum. W krajach starej Unii to kilka, najwyżej kilkanaście procent udziałów w sektorze bankowym – u nas wciąż około 60 proc. Banki z kapitałem zagranicznym udzielają około 70 proc. kredytów netto. Wśród demoludów tylko Polska oddała kontrolę nad sektorem finansowym kapitałowi zagranicznemu. Od obywateli ważniejsi są teraz inwestorzy, a od opinii publicznej – stopy procentowe.

Po drugie, kto handluje, ten żyje. Na polskim rynku dominują import oraz wielkie sieci handlowe patronów. Gdyby nie utracone korzyści w postaci produktów rodzimych firm, produkcja krajowa mogłaby być o 40–60 proc. większa. Większe też byłyby wpływy z podatków. Wskaźnik penetracji importowej wzrósł z 17 proc. w 1989 r. do 54 proc. w 2006 (w UE wynosi 44 proc.). Dopiero teraz telewizyjni „eksperci" mówią o polonizacji sklepów wielkopowierzchniowych i tworzeniu spółdzielni producentów rolnych.

Wielki polski wynalazek – paczkomaty – tylko szpeci ulice. Przytłaczająca jest wciąż zależność technologiczna od importu nowoczesnej techniki. W Polsce nadal ma miejsce „głęboki niedorozwój przemysłów wysokiej techniki" – stwierdza wybitny znawca polityki przemysłowej prof. Andrzej Karpiński. W zakresie elektroniki, robotyki, produkcji urządzeń dla transformacji energetycznej jesteśmy w lesie. Jachty i wideogry nie są nawet wisienkami na torcie – bo tego tortu nie ma od tysiąclecia. Jak wykazuje prof. Karpiński w książce pod optymistycznym tytułem „Jak wyjść z chaosu i bezwładu", udział wyrobów wysokiej techniki to 8 proc. całego polskiego eksportu wyrobów przemysłowych. Dla porównania: w UE wynosi on 16–17 proc., w krajach OECD przekracza 26. Co najgorsze, w Polsce produkcję finalnych wyrobów zastąpił montaż podzespołów. Aż dwie trzecie przyrostu produkcji osiągnięto przez zmianę własnej produkcji finalnej na montowanie i konfekcjonowanie wyrobów gotowych, w tym także usług przemysłowych. Pochwały „The Economist" – organu światowej finansjery, który zachłystywał się opowieścią o nowej epoce jagiellońskiej – to takie samo propagandowe zadęcie.


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

I po czwarte, wskaźnik PKB pomija ojczyznę kapitału. A tymczasem liczy się nie tylko bezpośrednia własność firm; liczy się również kontrolowanie przez obcy kapitał kluczowych pozycji w gospodarce. Dzięki zakupom maszyn i sprzętu dla firm gości wartość całego majątku produkcyjnego w przemyśle po ćwierćwieczu budowy kapitalizmu była o 70–80 proc. wyższa niż w gospodarce planowanej. Firmy z dominacją kapitału zagranicznego zatrudniają jedną trzecią siły roboczej i wytwarzają blisko 40 proc. produkcji przemysłowej kraju. Ale jeśli dodamy firmy z udziałem kapitału zagranicznego mniejszym niż 50 proc., to odpowiadają one za więcej niż połowę „krajowej" produkcji. Co gorsza, to blisko połowa „polskiego" eksportu!

Faszyzm – syn liberalizmu

Ale jest jeszcze gorzej.

Prawie 40 proc. eksportu to wymiana towarowa z jednostkami macierzystymi, czyli w istocie obrót wewnętrzny w ramach firm z obcym kapitałem. Na dodatek od tego „eksportu" nie pobiera się podatku VAT. Gamoń nie wie o tym, że zagraniczne firmy transferują zyski i renty?

Legalny drenaż Polski z kapitału stanowi równowartość około 5 proc. bajkowego PKB. Temu służy tolerowana optymalizacja podatkowa, a także manipulacje cenami transferowymi. Wielkie korporacje nie muszą dzielić się zyskiem, mimo że korzystają z taniej pracy w strefach specjalnych i że wcześniej wybudowaliśmy dla nich, często kosztem miliardów złotych, odpowiednie warunki do inwestycji, w tym infrastrukturę. Także polscy krezusi i ich biznesy emigrują do rajów podatkowych. Często nie wiadomo, gdzie znajduje się centrala, a gdzie rezydują właściciele.

Na dodatek pilnują ich interesów ambasadorzy i rezydenci banków – nie pozwolą skrzywdzić rodzimych big techów czy zbrojeniówki. Dla nich polski budżet stoi otworem.

Czyli wciąż konkurujemy, jak każda peryferia, tanią pracą i łatwym transferem zysków. To nasza przewaga komparatywna. Prawie co trzeci pracownik jest zatrudniony na umowach terminowych, co jest najwyższym wskaźnikiem w całej UE, gdzie średnia to jeden z 10.

Na dodatek system podatkowy w Polsce ma charakter regresywny. Lepiej zarabiający i bogatsi podatnicy płacą relatywnie niższe podatki. Dlatego prawie dwie trzecie wpływów do budżetu państwa pochodzi z podatków konsumpcyjnych obciążających w większym stopniu klasy pracownicze – bo to one konsumują proporcjonalnie większą część dochodu. Co gorsza, podatek PIT jest zbliżony do liniowego. Mimo że w Polsce istnieją dwie stawki PIT – 12 proc. i 32 proc. – tę wyższą płaci mniej niż 10 proc. podatników.

System podatkowy sprzyja zatem powiększaniu już istniejących majątków. Względnie nisko są opodatkowane przychody z kapitału pieniężnego. Do tego brak podatku katastralnego, a także brak podatku spadkowego w tzw. zerowej grupie podatkowej. Oraz możliwość ucieczki od podatków pod skrzydła tzw. fundacji rodzinnych. A potem niektórzy nie mogą zrozumieć, dlaczego francuski filozof Jacques Ellul ostrzega, że „faszyzm to syn liberalizmu".

Na dodatek na Ziemi – tej Ziemi – panuje coraz większy planetarny kryzys środowiskowy. A pogłębia go globalny kapitalizm wzrostu i masowej konsumpcji – tak pomyślnie instalowany w kraju dzięki kompradorom znad Wisły.

TADEUSZ KLEMENTEWICZ

eprasa.pl fefc40b2c9

Miało być lepiej, wyszło gorzej



Rys. TOMASZ WIATER

Apteki w pajęczynie

Kiedy PiS uchwaliło na początku 2017 r. ustawę „Apteka dla aptekarza” mieliśmy w Polsce 15 tys. aptek. Teraz jest 11 tys. Pisowcy wprowadzali nowe przepisy po to, żeby jak najwięcej farmaceutów mogło zakładać swoje małe punkty sprzedaży medykamentów, a nie zatrudniać się w zagranicznych sieciach aptecznych, które zdaniem władzy zdominowały polski rynek farmaceutyki detalicznej.

Dla kogo apteka?

Przepisy skrojono tak, żeby każdy absolwent farmacji był dla biznesmena mającego ochotę na własną aptekę na wagę złota, bo bez magistra prawo nie zezwalało na działalność tego typu firmy.

Dla gawiedzi PiS miało też bajkę mówiącą, że po wprowadzeniu „Apteki dla aptekarza” ponad 440 gmin, w których nie było ani jednej apteki, teraz będzie ją miało. Brak aptek na wsiach i w małych miasteczkach tłumaczono bowiem tym, że sieciom farmaceutycznym biznesy na terenach słabo zamieszkanych się nie opłacają, ale jak tylko dowartościuje się prawem polskich aptekarzy, to oni natychmiast pootwierają placówki w najmniejszych nawet pipidówach.

Statystyka zmiażdżyła tę narrację. Przez pierwsze cztery lata obowiązywania ustawy liczba gmin bez aptek się nie zmieniła. Poubywało ich za to w małych miejscowościach. Dzięki czemu w parotysięcznych miasteczkach została jedna apteka, która ma pozycję monopolisty i może dyktować ceny, jak chce. Na „Aptece dla aptekarza” finansowo popłynęły tysiące małomiasteczkowych klientów aptek, którym monopolista dyktował zawyżoną cenę.

Wraz z nowelizacją przepisów problemy zaczęli mieć nawet ludzie od lat apteki prowadzący. Prawo wymuszało na nich konieczność posiadania we władzach firmy i za ladą człowieka z mocnymi papierami farmaceutycznymi. A co, jeśli człowiek umarł lub po jakimś wylewie czy wypadku jest rośliną?

Zaczęło się to, co zaliczył pan z Dzierżoniowa, który po 20 latach prowadzenia farmaceutycznego biznesu dostał nakaz zamknięcia apteki, bo urzędnik wyczaił, że zmienił się jego wspólnik. Leki za milion złotych trzeba było zutylizować, pozwalniać ludzi i przez cztery tata biegać po sądach, żeby spróbować odkręcić coś, co zamotała „Apteka dla aptekarza”. Ale nawet wygrana po latach nie spowodowała, że apteka ruszyła na nowo.

Pisowska ustawa mająca być młotem na zagraniczne sieci apteczne pokazała, że coś poszło wybitnie nie tak. Zamykanie aptek dotykało bowiem głównie te, które działały samodzielnie. Początkowo wykruszyły się jedynie sieci, które zajmowały się hurtowym wysyłaniem leków za granicę. Potem liczby jęły pokazywać, że z każdych sześciu plajt aptek cztery dotyczyły tych niesieciowych. A co najśmieszniejsze, jeśli padały sieciówki, to w znakomitej większości te należące do polskich biznesmenów.

Zasieciowani

Sytuacja ta nie była przypadkowa ani chwilowa, tylko wpisana w konstrukcję rynku, który jednocześnie się kurczył i konsolidował. I to w sposób, który zaskoczył głównie tych, którzy powinni go nadzorować.

Na papierze aptekarstwo wygląda jak podręcznikowy przykład rozproszonej własności. Kilkaset sieci, kilka tysięcy podmiotów prowadzących działalność, do tego apteki indywidualne. Tyle że struktura ta przypomina raczej pajęczynę powiązań kapitałowych, franczyzowych i logistycznych, której sznurkami pociąga się coraz częściej spoza Polski.

Największe sieci – takie jak Dr.Max czy Gemini – posiadają setki placówek, choć formalnie nie przekraczają ustawowych limitów. Te bowiem, zgodnie z zasadą „apteka dla aptekarza” i przepisami antykoncentracyjnymi, mają zapobiegać sytuacji, w której jeden podmiot kontroluje więcej niż 1 proc. aptek w województwie, czyli góra kilkanaście placówek na Mazowszu. Tymczasem tylko w tym regionie parę sieci ma ich po kilkadziesiąt.

Oczywiście nie jest to jawne łamanie prawa, ale jego obchodzenie. Model franczyzowy, spółki zależne, a wreszcie konstrukcje właścicielskie, w których formalny właściciel nie jest tym, kto faktycznie kontroluje biznes, sprawiają, że przepisy działają jedynie w uzasadnieniach ustaw.

W efekcie rynek, który według danych szacowany jest na około 60 mld zł rocznie, przestaje być rynkiem krajowym, a zaczyna przypominać segment międzynarodowego obrotu kapitałowego. Szczególnie po serii transakcji z lat 2025–2026, kiedy to cztery zagraniczne fundusze – Creditas, Sev.en Global, Penta i J&T – weszły w struktury jednej z największych sieci aptecznych w Polsce.

Ale Polska to nie tylko Warszawa, Kraków i Wrocław, gdzie apteki stoją co kilkaset metrów. To również 546 gmin, które nie mają ani jednej apteki ogólnodostępnej. Dzieje się to w państwie, w którym codziennie około 2 mln ludzi kupuje leki i wyroby medyczne.

W kraju, który pozwala na koncentrację aptek w największych aglomeracjach, setki tysięcy ludzi są zmuszone dojeżdżać po podstawowe medykamenty do innych miejscowości. Jeśli ktoś widzi w tym logikę, to zapewne pracuje w Ministerstwie zdrowia.

Naczelna Rada Aptekarska twierdzi, że mamy do czynienia z procesem, który wymknął się spod kontroli i odbywa się przy biernej postawie instytucji, które powinny reagować natychmiast. Główny Inspektor Farmaceutyczny dowiaduje się bowiem o kluczowych transakcjach z mediów. Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów zastanawia się, czy w ogóle powinien się nimi zajmować. Inspekcja farmaceutyczna działa w składzie „stu kilkudziesięciu osób”, nadzorując rynek wart dziesiątki miliardów złotych. Farmaceuci słusznie zauważają, że to nie jest system, ale dekoracja.

Miłosierny monopolista

Samorząd aptekarski od miesięcy alarmuje, że mamy do czynienia z agresywnymi przejęciami, które omijają wszystkie istniejące zabezpieczenia. Progi antykoncentracyjne, zasada „apteka dla aptekarza”, nowelizacja z 2023 r. – wszystko to nie działa.

Żeby tylko. Procedowany jest właśnie projekt ustawy zakładający możliwość posiadania nawet 2200 aptek przez jeden podmiot. W Europie nie ma kraju o takiej skali liberalizacji. Francja, Niemcy, Hiszpania, Belgia – wszystkie te państwa trzymają się zasady, że apteka to nie jest zwykły sklep. To element systemu bezpieczeństwa zdrowotnego. W Polsce natomiast traktuje się ją jak zwykły biznes, który można kupić, sprzedać i skonsolidować, jeśli tylko konstrukcja prawna jest wystarczająco sprytna.

Adwersarz NRA, czyli Związek Aptek Franczyzowych, widzi w proponowanych zapisach konieczność zmian. Mariusz Kisiel, prezes ZAF, mówi mediom: „Dziś największym problemem nie jest wcale nadmierna siła sieci aptecznych, tylko zachwiana równowaga między rynkiem hurtowym a detalicznym”.

I ma rację. Trzy największe hurtownie odpowiadają za 70–80 proc. obrotu w Polsce. To oznacza, że realna władza nad rynkiem nie musi znajdować się w aptekach. Może znajdować się tam, gdzie apteki kupują towar. A skoro tak, to dyskusja o limitach koncentracji na poziomie 1 proc. czy nawet 20 proc. może być – jak twierdzą przedstawiciele ZAF – rozmową o czymś, co już dawno przestało mieć znaczenie. Bo rynek konsoliduje się tam, gdzie go nie widać.

Ba, ZAF uważa, że 546 gmin bez aptek to nie jest efekt nadmiaru wolnego rynku, tylko jego ograniczeń. Bo jeśli nie opłaca się prowadzić apteki w małej miejscowości, a jednocześnie przepisy utrudniają rozwój sieci, to rezultat jest prosty – apteki znikają. Z tej perspektywy propozycje liberalizacji rynku, ujednolicenia limitów koncentracji czy wprowadzenia większej elastyczności prowadzenia działalności nie są – jak twierdzą franczyzowcy – zamachem na system, tylko próbą jego dostosowania do rzeczywistości.

W tej historii najbardziej uderzające jest to, że o apteki walczą wyłącznie ci, którzy mają w tym interes. Samorząd aptekarski, który broni swojej pozycji. Sieci i franczyzy, które walczą o rozwój. Hurtownie, które chcą utrzymać dominację. Państwo zaś udaje, że nie rozumie, o co w tym chodzi. A idzie o to, kto będzie decydował o cenach leków, ich dostępności i tym, czy w sytuacji kryzysowej chorzy nie będą umierali z powodu braku leków, których akurat monopolistom nie opłacało się dostarczyć do aptek.

TADEUSZ JASIŃSKI

Sprzedajna Polska

Sprawiedliwość wymaga rewolucji

Polska nigdy nie była tak bogata. W Warszawie jest 200 tys. pustych mieszkań. Ci, którzy je kupili, zrobili to nie po to, żeby mieszkać, nie dla dzieci czy wnuków. Większość tych mieszkań służy bogaceniu się nabywców. Bo ceny rosną szybciej i dają większą marżę zysku niż lokata bankowa, a nawet bardziej ryzykowne instrumenty finansowe. Kiedy widzicie, jak się mury pną do góry, kiedy patrzycie na dźwigi, place budów, to nie patrzycie na powstawanie miejsc do mieszkania. To rosną kolejne lokaty. Kupowane przez bogaczy, którzy dzięki trzymaniu pustych mieszkań wzbogacą się jeszcze bardziej.

Osiedle Przyjaźń. Tu mieszkają byli studenci, obecnie studiujący, lub po prostu bezdomni młodzi ludzie pracy. I tu regularnie przybywa policja, zakłada im kajdanki, straszy, wozi na komendę. Zabija puste pokoje dechami. Ta akcja czyszczenia nie pozostawia wątpliwości. Atrakcyjna, pełna zieleni i wielka działka w środku miasta to wymarzony teren dla dewelopera. I to deweloper stoi za tymi akcjami pacyfikacyjnymi. Kiedyś mieszkali tu budowniczowie Pałacu Kultury, potem były akademiki, a teraz są puste, niszczejące drewniane domki, w których schronienie znajduje bezdomna młodzież. Ich hasło to „Nasza Przyjaźń nie jest na sprzedaż”. Tylko że to nieprawda. Wszystko jest na sprzedaż w tym skorumpowanym do szpiku kości mieście.

„Wychowuję 18-letniego Nikodema, 10-letnich bliźniaków Ksawerego i Patryka oraz 7-letnią Julię. Jedno z moich dzieci posiada orzeczenie o niepełnosprawności i uczęszcza do klasy integracyjnej, drugie zmaga się z ADHD. Kilka lat temu uciekłam z przemocowej relacji, zostawiając cały dorobek życia i zaczynając wszystko od zera. Za zgodą właściciela i po jego wielokrotnych zapewnieniach, że będziemy mogli mieszkać tutaj długoterminowo, wyremontowałam lokal własnymi środkami i własną pracą. Urządziłam dzieciom pokoje, stworzyłam bezpieczną przestrzeń i prawdziwy dom, z którym są bardzo silnie związane” – do końca maja ta kobieta z dziećmi musi się wynieść, bo właściciel postanowił mieszkanie sprzedać. Nie chce oddać poniesionych nakładów na remonty ani nawet kaucji. Kobieta i jej dzieci wylądują na bruku, choć nie zalegała z czynszem ani złotówki. A wynajęcie mieszkania z czwórką dzieci to dla samotnej matki *mission impossible*.

W czasie kampanii wyborczej premier powtórzył nasze hasło: „Mieszkanie prawem, nie towarem”. I zablokował budowę mieszkań komunalnych. Bo na drogich mieszkaniach zarabiają główni sponsorzy kampanii wyborczej Tuska i kolegów – deweloperzy. To do nich padło inne hasło w gmachu giełdy: „Bogaćcie się”. Polska się bogaci. Tylko że ta bogacąca się Polska to oni, deweloperzy blokujący budowanie tanich mieszkań pod wynajem, lekarze na kontraktach zarabiający setki tysięcy złotych miesięcznie, przedsiębiorcy sprowadzający tanią, niewolniczą siłę roboczą z krajów Trzeciego Świata.

Gospodarka rośnie. Powinna służyć zaspokajaniu rosnących potrzeb społecznych. Ale gdzie tam! Służy temu, by jedni się bogacili kosztem drugich. Puchnie od spekulacyjnych zysków. Dlaczego w kraju tak bogatym nie można się leczyć? Ba, nawet badać? Nie można mieszkać, bo mieszkanie służy do spekulacji? A państwo zamiast rozwiązywać problemy, stoi na straży nierówności i niesprawiedliwości społecznej. Czemu spekulantom od afery krypto dano wyjechać do Izraela? Czemu goście, którzy uwłaszczają się na

WIEŚCI GMINNE i INNE

Wołynia nie pomścicie! Bicie ukraińskiego kuriera czy wyzywanie sprzątaczki to nie jest patriotyczna wendeta, tylko zwykłe, śmierdzące tchórzostwo. Kropka.

Niemiec na litr paliwa pracuje pięć minut – akurat tyle, by zdążyć pomyśleć o wyższości swojej gospodarki nad resztą kontynentu. Polak, by dostąpić tego samego zaszczytu, musi pocić się dwa razy dłużej, czyli 9–12 minut. Prawdziwa poezja zaczyna się jednak przy pełnym baku: statystyczny rodak musi tyrać całą dniówkę, by móc w ogóle dojechać do roboty. Paradoks. Pracujemy osiem godzin dziennie po to, by sfinansować sobie samą możliwość bycia wyzyskiwanym.

Donald Trump, poirytowany postawą europejskich sojuszników, zdecydował o ograniczeniu obecności wojsk USA w Europie. Wstrzymanie planowanej rotacji amerykańskiej brygady pancernej do Polski oraz cięcia w Niemczech oznaczają w praktyce redukcję personelu z 10 tys. do 6 tys. żołnierzy stacjonujących pod naszą wschodnią granicą. To znakomita wiadomość. Polska jako państwo suwerenne zyskuje wreszcie okazję, by stosunki z Rosją układać według własnego pomyślunku zamiast nadążać za instrukcjami przesyłanymi w mailach z Waszyngtonu.

Policyjne statystyki pokazują: mamy gwałtowny wzrost przestępstw wobec Ukraińców. W ciągu dwóch lat liczba gróźb karalnych skoczyła o ponad 50 proc., przypadków znęcania się – o blisko 73 proc., a napaści motywowanych ksenofobią – o ponad 66 proc. W 2025 r. policja odnotowała 543 przestępstwa motywowane uprzedzeniami. To o 41 proc. więcej niż rok wcześniej. Socjolog Przemysław Sadura słusznie ostrzega, że narastająca ksenofobia może prowadzić do zorganizowanej przemocy, której źródła biją z rynsztoka mediów społecznościowych Marka Zuckerberga. Nawołujemy do opamiętania.

PLL LOT jako pierwsza linia lotnicza na świecie wykazała się brakiem ochoty na cichą ugodę. Pociągnęła Boeinga przed ławę przysięgłych w Seattle. Zarzut jest staroświecki: oszustwo. Amerykanie mieli świadomie ukrywać wady w modelu Boeinga 737 MAX, sprzedając te maszyny jako bezpieczne, co skończyło się dwiema katastrofami i uziemieniem floty na 20 miesięcy. LOT domaga się odszkodowania za straty. Boeing broni się, pytając retorycznie: „Skoro was oszukaliśmy, to dlaczego wciąż tymi samolotami latacie i kupujecie kolejne?”. I rzeczywiście – LOT ma już 26 takich maszyn, a cztery następne są w drodze.

Uniwersytet Morski w Gdyni zapragnął nowej fregaty, bo „Dar Młodzieży” z 1981 r. to skansen na wodzie. Warunki

eprasa.pl fefc40b2c9

SŁOWO CZERWONE

gruntach warszawskich na podstawie jakichś świadectw przedwojennych spółek i chcą się bogacić kosztem lokatorów, którzy mieszkają w budynkach wybudowanych na tych gruntach, nie zostali zatrzymani tymczasowo? Czekamy, aż też czmychną dokądś, skąd nie ma ekstradycji?

Do mieszkania pielęgniarki włamał się czyściciel. Zamiast wyroku sądowego i komornika użył łomu. Kiedy zadzwoniłem na komendę policji na Woli, zastępca komendanta rzekł: „Chłopaki oszczędzają na kosztach komorniczych". Do kogo mam dzwonić, skoro na komendzie są kumple bandytów?

System jest bandycki, bo nie przeznacza pieniędzy z naszych podatków na tanie mieszkania i leczenie. Firmy farmaceutyczne i prywatne medyczne to zaraz po deweloperach najpoważniejsi sponsorzy kampanii wyborczych. Ale nie tylko polityka jest podła. Podłe jest to, że bandyci i złodzieje prosperują i mają się dobrze.

Żaden złodziej odpowiedzialny za aferę reprywatyzacyjną i wykurzenie z mieszkań 40 tys. Warszawiaków nie poniósł kary. A miasto stołeczne Warszawa bardzo się postarało, żeby żadna z ofiar tego bandytyzmu nie otrzymała odszkodowania.

Zarówno władza centralna, jak i duża część samorządów stoją na straży bezprawia, kryją złodziei i biorą łapówki. Ludzie się nie buntują, bo się boją. Takiego strachu to ja za komuny nie pamiętam. Jak tylko piśniesz, to już cię nie ma. Wylecisz z roboty i jeszcze przypilnują, żebyś innej nie znalazł.

Staram się pokrzywdzonym pomagać. Minimalizować straty, zapewniać dach nad głową. Ale kiedy oni domagają się sprawiedliwości, rozkładam ręce. Bo sprawiedliwość wymaga rewolucji. Żeby biednymi nie rządzili bogaci.

PIOTR IKONOWICZ

Szuflada z prawami człowieka



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Polska w oślej ławce

Spróbuj załatwić w Polsce coś naprawdę podstawowego: mieszkanie z czynszem, który nie pożera połowy pensji, miejsce w domu opieki dla schorowanego rodzica, rehabilitację bez terminu „za rok", ochronę przed eksmisją po życiowym zakręcie. Wtedy szybko odkryjesz, że nasze państwo jest niezwykle nowoczesne – potrafi godzinami mówić o bezpieczeństwie, konkurencyjności, patriotyzmie i wartościach europejskich, ale gdy ktoś pyta o prawa społeczne, odpowiedzi – podobnie jak mężów stanu w polskiej polityce – brak.

Bo żyjemy w kraju, który od 20 lat nie potrafi dokończyć ratyfikacji dokumentu dotyczącego podstawowych praw społecznych, choć politycy wszystkich opcji regularnie zapewniają nas o swoim humanizmie, europejskości i trosce o zwykłego człowieka. Mowa o Zrewidowanej Europejskiej Karcie Społecznej. Dokument Polska podpisała już w 2005 r. I właśnie wtedy polskie państwo najwyraźniej uznało, że najlepiej będzie schować temat do szuflady – i od tej pory bardzo pilnować, żeby nikt jej przypadkiem nie otworzył. Próbowałam gardłować w tej sprawie, będąc posłanką VII kadencji, ale im bardziej krzyczałam, tym było ciszej.

Najważniejszym dokumentem regulującym socjalne prawa człowieka jest uchwalona w 1961 r. Europejska Karta Społeczna (EKS). Polska ratyfikowała ją w 1997 r. Potem jednak świat uznał, że dokument trzeba uaktualnić i poszerzyć o prawa odpowiadające nowej rzeczywistości. Dlatego w 1996 r. przyjęto Zrewidowaną Europejską Kartę Społeczną (ZEKS), która weszła w życie w 1999 r. W 2005 r. rząd Marka Belki, z inicjatywy Izabelli Jarugi-Nowackiej, podpisał zrewidowaną kartę. Potem należało ją ratyfikować. I co? I nic. Nic od 20 lat. Kolejni premierzy obchodzili ZEKS jak dziurę w chodniku. A chodzi przecież o prawa człowieka – deklaratywny cel demokracji, dumę europejskiej cywilizacji.

W Radzie Europy 36 państw podpisało i ratyfikowało ZEKS. A my, członkowie Unii Europejskiej, siedzimy w oślej ławce razem z Chorwacją, Czechami, Danią i Luksemburgiem, bo to państwa UE, które nie doprowadziły ratyfikacji nowej karty do końca. Duńczyków felietonowo chciałoby się nie liczyć do tej ekipy, bo mam wrażenie, że oni mają tyle swoich praw, iż więcej brać nie muszą. Ale formalnie siedzą. Piękne towarzystwo, powie ktoś, zwłaszcza Dania. Owszem, tyle że my mamy dodatkowy talent: z zaniedbania robimy doktrynę, z doktryny procedurę, z procedury szufladę, a z szuflady kostnicę dla praw społecznych.

Najbardziej boli brak art. 31 ZEKS w polskim katalogu wiążących zobowiązań: prawa do mieszkania. To nie jest prawo do apartamentu, marmurów, ochroniarza w lobby ani grodzonego osiedla. Chodzi o trzy obowiązki państwa: dostęp do mieszkań o ludzkim standardzie, zapobieganie bezdomności i ograniczanie jej aż do stopniowej likwidacji oraz czynienie kosztów mieszkania dostępnymi dla ludzi bez zasobów. Brzmi jak minimum? W Polsce żądanie minimum zawsze przedstawia się jako roszczeniowość. Deweloper może mieć 30 proc. marży, fundusz może skupować mieszkania jak dzieci naklejki, bank może sprzedawać kredyt jako rytuał przejścia w dorosłość, ale gdy obywatel mówi „mieszkanie", władza słyszy „bolszewizm w kapciach".

Bez ratyfikacji polski lokator nie traci nagle wszystkich praw. Traci jednak mocniejszą tarczę: międzynarodowy standard, cykliczne rozliczanie państwa, język, w którym dach nad głową przestaje być jałmużną, a staje się zobowiązaniem. Art. 31 robi z mieszkania sprawę godności, zdrowia, bezpieczeństwa dzieci, pracy, starości i wolności osobistej. Bo wolność bez mieszkania wygląda tak: możesz iść, dokąd chcesz, byle nie było to miejsce, w którym da się żyć.

W tej samej szufladzie leżą zapisane w ZEKS: ochrona przed ubóstwem i marginalizacją, godność w pracy, ochrona przed niesprawiedliwym zwolnieniem, równe traktowanie kobiet i mężczyzn, eliminowanie zagrożeń w miejscu pracy, prawa dzieci i młodocianych, szkolenie zawodowe bezrobotnych, integracja długotrwale bezrobotnych, mocniejsza ochrona rodzin, macierzyństwa, osób starszych, osób z niepełnosprawnościami, migrantów oraz pracowników. Rzecznik praw obywatelskich wskazywał te obszary jako część ochrony, której brak ratyfikacji ZEKS nie pozwala w Polsce w pełni urzeczywistnić w standardzie zrewidowanej karty. Czyli po ludzku: mniej samotności, mniej uległości wobec szefa, dostępny czynsz, lekarz w rozsądnym terminie, ochrona przed bandycką eksmisją, bezdomnością i urzędowym wzruszeniem ramionami.

W styczniu 2026 r. Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej odpisało rzecznikowi praw obywatelskich, że wszczęto prace nad dokumentami, na podstawie których ma zapaść decyzja o „ewentualnym związaniu" Polski z ZEKS. „Ewentualnym" – cudowne słowo.

Dlatego wróćmy do szuflady. Nie leży tam papier, tylko rachunek za 20 lat tchórzostwa i unikania działania w interesie społecznym.

Prawica miała rodzinę na sztandarach, liberałowie – Europę na ustach, centrolewica – wrażliwość w folderach, a człowiek dalej słyszy: proszę czekać, pochylamy się nad tym z troską.

Może czas nagrodzić jednak naszych „mężów stanu" za tę troskę bardzo długim urlopem od polityki?

ANNA GRODZKA

przetargu są jednak tak skrojone, że pasują wyłącznie do jednego krawca – Stoczni Gdańskiej. Wymóg doświadczenia przy budowie żaglowców za minimum 200 mln zł w czasach, gdy nikt przy zdrowych zmysłach takich jednostek już nie produkuje, to klasyczna ustawka ubrana w prawo zamówień publicznych. Wynik jest przesądzony, ale teatr musi być, żeby nikt nie zarzucił, że w państwie prawa brakuje nam wyobraźni przy wyprowadzaniu publicznego grosza.

■ W Łodygowicach pod Żywcem dokonał się cywilizacyjny przeskok. Uroczyście oddano do użytku pół kilometra asfaltu dla cyklistów. Pięćset metrów! Żeby uświetnić epokowe wydarzenie, na miejscu zjawił się sam wiceminister infrastruktury Przemysław Koperski oraz burmistrz Żywca Antoni Szlagor. Obecność wiceministra przy otwarciu 500 metrów ścieżki sugeruje, że polska infrastruktura jest w stanie tak doskonałym, iż rząd nie ma już nic innego do roboty. Zabrakło jedynie asysty myśliwców F-16 i salwy honorowej.

■ Karol Nawrocki adoptował w Rumunii niedźwiedzia Batyra. To ten sam pseudonim, pod którym prezydent opisywał kiedyś przygody bandyty „Nikosia" Skotarczaka. Jak widać ojciec narodu ma niezmienną słabość do grubego zwierza i drapieżników. O ewentualnym powiększeniu rodziny z jakąś rumuńską niedźwiedzicą dowiecie się od nas pierwsi.

■ W południowej Brandenburgii, tuż przy polskiej granicy, trwa wielkie znikanie inwentarza. W ciągu kilku tygodni z pastwisk wyparowało 150 krów, w tym elita rozpłodowa, co wprawiło niemieckich bauerów w stan przedzawałowy. Choć twardych dowodów brak, tamtejsza opinia publiczna już widzi w tym polską partyzantkę nocną, operującą ciężarówkami z gracją cichociemnych. Niemcy są sami sobie winni. Przez lata za pomocą systemów VIN, immobilizerów i globalnych rejestrów skutecznie obrzydzili nam tradycyjny polski sport, jakim było pozyskiwanie ich limuzyn. Skoro samochodu niepodobna już dziś bezstresowo ukraść i upłynnić, postawiliśmy na inwentarz żywy. Krowa póki co nie posiada tablic rejestracyjnych ani cyfrowego zapisu w bazie Interpolu. Można więc uznać, że to po prostu kolejna rata reparacji wojennych pobierana w naturze i bez zbędnej biurokracji.



Rys. WIDGET

■ W Chróścinie na Dolnym Śląsku spłonęła ubojownia bydła, co dla tamtejszych krów było zapewne jedynym radosnym wydarzeniem od czasu ich niefortunnych narodzin. 7,5 tys. mkw. dachu runęło w dół, zamieniając nowoczesną linię produkcyjną w malownicze złomowisko. Cztery osoby trafiły do szpitala, bo podtruły się tlenkiem węgla. Luksus w porównaniu z losem stałych klientów tego przybytku, których z hali wynosi się zazwyczaj w kawałkach i bez ceregieli z karetką. 150 strażaków lało wodę z 45 wozów, próbując ratować to, co z definicji służy do zabijania. Co do przyczyn: albo obce mocarstwo uznało mordownię za cel strategiczny, marnując drogi napalm, albo krowy wreszcie zrozumiały, że jedyną drogą do wolności jest puszczenie swoich oprawców z dymem.

■ Państwo polskie odniosło kolejny spektakularny sukces w walce z międzynarodowym kartelem jednoosobowym. Dzielny burek straży granicznej wywąchał u 47-letniego Polaka całe trzy gramy marihuany. Nieszczęśnik wrócił z Czech i popełnił błąd fatalny: wszedł do terminalu w Pyrzowicach tylko po to, by wymienić walutę. Zamiast złotówek dostał nosa służbowego konfidenta. Trzy gramy zielska – toż to ilość zagrażająca fundamentom Rzeczypospolitej bardziej niż wszystkie rakiety, których nasze radary nie widzą. Teraz do akcji wkroczą prokurator i sędzia. A pies nie jest najlepszym przyjacielem człowieka.

■ 74-letni mieszkaniec Chełmka postanowił na jesieni życia zostać rekinem finansjery. Skuszony internetową obietnicą łatwego zysku, powierzył swoje dane, a następnie przelał 100 tys. zł rzekomemu doradcy inwestycyjnemu. Pieniądze, rzecz jasna, wyparowały. Można by rzec, że to tragedia, ale ja wolę widzieć w tym proces edukacyjny. Człowiek bywa oszukiwany od kołyski aż po grób, co jedynie dowodzi, że na naukę nigdy nie jest za późno.

■ W Bydgoszczy 45-letni entuzjasta niemieckiej motoryzacji uznał, że formalności kredytowe są zbędnym przeżytkiem, więc po prostu wyjechał nowym Audi z salonu przy ul. Fordońskiej. Policja zarządziła dwugodzinną obławę i blokady dróg w całym powiecie. Finał był przewidywalny: auto odnaleziono, a zuchwałego klienta zatrzymano. Kolejny dowód na to, że w Polsce łatwiej jest samochód ukraść niż potem nim dokądkolwiek dojechać.

■ 53-letni kierowca Porsche z Rzeszowa został skazany w rekordowe 48 godzin po tym, jak mając ponad trzy promile alkoholu, postanowił sprawdzić wytrzymałość ściany budynku przy ul. Dąbrowskiego. Ta „chwila nieuwagi" kosztuje go rok i dwa miesiące więzienia, dożywotni zakaz prowadzenia czegokolwiek poza wózkiem widłowym w zakładzie karnym oraz 32 tys. zł kary i równowartość luksusowego grata. To nie jest zwykły niefart, to metafizyczny wpierdol.

RJ

PS Powyższe treści stanowią retransmisję doniesień prasy lokalnej dokonaną w oparciu o przesłankę uzasadnionego interesu społecznego oraz prawo do informacji. Redakcja zastrzega, iż nie ponosi odpowiedzialności za prawdziwość materialną przytoczonych twierdzeń, gdyż ich weryfikacja w zakresie staranności i rzetelności spoczywa na podmiotach będących źródłem pierwotnym.

eprasa.pl fefc40b2c9

Polskie znaczy najdroższe

Czy patriotyzm gospodarczy wyjdzie nam bokiem?

Tusk ostatnio rzucił urbi et orbi, że „polskie spółki skarbu państwa mają wydawać miliardy tak, żeby jak najwięcej z tych pieniędzy zostawało w kraju". I wcale nie zauważył, że brzmi to jak kolejna już wersja hasła „kupuj u Polaka".

Według założeń tej koncepcji udział tzw. *local content* w największych inwestycjach ma w niektórych przedsięwzięciach sięgać nawet 40–50 proc. wartości zamówienia. Przy inwestycjach liczonych w miliardach złotych oznacza to, że setki milionów, a często całe miliardy, mają zostawać w Polsce zamiast zasilać zagraniczne koncerny. Jeśli bowiem pojedynczy projekt energetyczny wart jest 10 mld zł, to nawet 40 proc. lokalnego udziału oznacza 4 mld zł dla krajowego biznesu. A takich projektów w najbliższych latach mają być dziesiątki.

Konkurencja niepatriotyczna

Skala robi się jeszcze bardziej imponująca, gdy spojrzeć na całość planowanych inwestycji spółek skarbu państwa. To programy liczone łącznie w setkach miliardów złotych rozpisanych na dekadę lub dłużej. Energetyka, transformacja klimatyczna, infrastruktura, modernizacja przemysłu – wszystko to razem tworzy finansową rzekę, która ma szerokim strumieniem zasilać polską gospodarkę.

Tusk chce, aby polskie przedsiębiorstwa miały większy udział w realizacji strategicznych inwestycji. Do tej pory w wielu przetargach decydowały głównie cena i parametry techniczne, co często prowadziło do zwycięstwa zagranicznych podmiotów dysponujących większym doświadczeniem lub skalą działania. Teraz do gry ma wchodzić dodatkowy czynnik, czyli właśnie lokalność, która może przechylić szalę na korzyść krajowego wykonawcy, nawet jeśli jego oferta nie będzie absolutnie najtańsza. Co oczywiście jest bzdurą, bo Polska jest w Unii, a jednym z podstawowych jej założeń jest to, że wszystkie firmy z UE są równe, a te lokalne żadnych preferencji mieć nie mogą.

I jeśli zagraniczna firma jest w stanie wykonać projekt za 9 mld zł, a krajowa za 10 mld zł, ale ta druga zostanie wybrana, to zaczną się takie jaja w Brukseli, że popłyniemy na funduszach unijnych bardziej niż Morawiecki na KPO. Jeśli jednak ktoś sądzi, że preferowanie polskich biznesów rozkręci gospodarkę, to i tak nieszczególnie ma rację, bo skoro nie rozkręciły jej miliardy z KPO, to co niby ma ją rozkręcić?

Nie zmienia to faktu, że sama idea ma w sobie coś pociągającego. Bo wizja kraju, w którym wielkie inwestycje napędzają lokalny biznes, tworzą miejsca pracy i budują krajowy potencjał, jest atrakcyjna i łatwa do sprzedania politycznie. Problem w tym, że między wizją a rzeczywistością jest jeszcze coś takiego jak prawo unijne i struktura rynku oraz natura biznesu.

A natura biznesu jest taka, że jeśli można zarobić więcej przy mniejszej konkurencji, to się zarabia więcej. Dlatego gdyby nawet projekt *local content* zaczął funkcjonować, to może się okazać błogosławieństwem dla firm, które znajdą się po właściwej stronie kontraktów i będą mogły liczyć miliardy przychodów. I przekleństwem dla tych, którzy za to wszystko zapłacą, czyli dla obywateli, którzy zamiast tańszych usług i towarów dostaną droższe, choć bardziej „polskie".

Czech na torze

Gdyby ktoś nie wierzył – proszę bardzo. „Bilet za 9 zł, kawa gratis i jeszcze miejsce siedzące" – pojawienie się czeskiego przewoźnika RegioJet na polskich torach sprawiło, że ceny biletów kolejowych zaczęły zachowywać się w sposób, którego wcześniej nikt się nie spodziewał, czyli zaczęły spadać.

Różnice między RegioJet a PKP Intercity były momentami wręcz absurdalne. Na najbardziej obleganej trasie w kraju, czyli Warszawa–Kraków, RegioJet wszedł na rynek z ceną startową 49 zł, podczas gdy najtańsze bilety PKP Intercity kosztowały ok. 68 zł, a za Pendolino trzeba było zapłacić nawet 169 zł. Oznacza to, że w podstawowej relacji różnica wynosiła od 19 zł do nawet 120 zł na jednym bilecie, czyli od 28 proc. do ponad 70 proc. w zależności od klasy i pociągu.

I to był ledwie początek, bo RegioJet bardzo szybko pokazał, że 49 zł to nie jest jego dolna granica, ale punkt wyjścia do dalszego zbijania cen. W promocjach bilety potrafiły kosztować 39 zł, a nawet 27 zł, a w skrajnych przypadkach – przy odpowiednim terminie i godzinie – można było znaleźć przejazdy za 9 zł. Najtańsze zaś bilety PKP w regularnej sprzedaży rzadko schodziły poniżej 40–45 zł, a ceny bazowe dla wielu połączeń oscylowały w okolicach 69–169 zł. Pasażer stojący przed wyborem przewoźnika mógł zapłacić za tę samą trasę od 9 do 169 zł. Takiej rozpiętości cen wcześniej na polskiej kolei po prostu nie było.

Na reakcję PKP Intercity nie trzeba było czekać długo, bo przewoźnik od razu zaczął ciąć ceny. W jednym z przypadków bilety spadły z około 70 zł do 45,50 zł, a chwilę później nawet do 38,50 zł. Innymi słowy, pojawienie się czeskiego gracza potrafiło obniżyć ceny o ponad 40 proc. w ciągu kilku dni.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Najzabawniejsze, że RegioJet działał komercyjnie, bez dotacji państwowych, podczas gdy PKP Intercity funkcjonuje w systemie, w którym część połączeń jest wspierana publicznymi pieniędzmi. Mieliśmy sytuację, w której prywatny gracz wchodzi na najbardziej dochodowe trasy, zbija ceny i zabiera klientów, a państwowy przewoźnik musi się do tego dostosować.

Nie będzie Pepik...

Dlaczego o tym wszystkim piszę w czasie przeszłym? Ano dlatego, że to było i se ne vrati. „To się po prostu nie spina" – tak w skrócie można streścić decyzję czeskiego przewoźnika RegioJet, który jął pakować walizki i opuszczać polskie tory, nim zdążył się na nich na dobre rozgościć. I dzieje się to akurat w momencie, gdy Tusk ogłasza z pompą „patriotyzm gospodarczy" pod nazwą *local content*.

Okazuje się bowiem, że przedsięwzięcie mające odstraszać zagraniczną konkurencję jest i działa. Gdy bowiem przyszło do liczenia pieniędzy, czeski przewoźnik doszedł do wniosku, że polski rynek nie jest miejscem, w którym da się zarabiać. „Nie jesteśmy w stanie osiągnąć rentowności" – to jedno z kluczowych stwierdzeń, które padło ze strony prezesa spółki, pokazujące, że nawet przy dużym zainteresowaniu pasażerów biznes się nie klei. Okazuje się bowiem, że koszty operacyjne w Polsce potrafią być zaskakująco wysokie, a jednym z najbardziej jaskrawych przykładów są wynagrodzenia. Konduktorzy RegioJet w Polsce mieli zarabiać nawet około 12 tys. zł miesięcznie brutto, co jak na warunki branży kolejowej było kwotą, która nie mieściła się w standardowych widełkach. To nie były pensje, które można łatwo zbilansować przy biletach sprzedawanych po kilkadziesiąt złotych.

Do tego dochodziły opłaty za dostęp do infrastruktury, które w Polsce należą do najwyższych w Europie, oraz cała biurokratyczna otoczka, która sprawia, że prowadzenie działalności kolejowej przypomina slalom między przepisami, kosztami i ograniczeniami. Efekt był taki, że nawet przy wysokim obłożeniu pociągów rachunek końcowy wychodził na minus.

Eksperci nie mają wątpliwości, że sytuacja jest dość dziwna, bo z jednej strony Polska deklaruje otwartość na konkurencję i rozwój rynku, a z drugiej – realia działania skutecznie zniechęcają tych, którzy chcieliby tę konkurencję wprowadzić. I właśnie w momencie, gdy rząd ogłasza strategię *local content*, czyli de facto wspieranie krajowych podmiotów kosztem zagranicznych, jeden z najgłośniejszych zagranicznych graczy mówi „pas" i wychodzi.

Znika podmiot, który był w stanie sprzedawać bilety nawet kilkukrotnie taniej niż konkurencja. I co zostaje? Zostaje rynek, na którym dominującą pozycję odzyskuje PKP Intercity, czyli gracz, który jeszcze chwilę temu musiał ciąć ceny, a teraz już nie będzie miał takiej presji.

I jeśli pasażer jeszcze niedawno mógł wybierać między biletem za 9 zł a biletem za 150 zł, to teraz wybór znów będzie znacznie skromniejszy. A tam gdzie wybór maleje, ceny mają tendencję do wzrostu. Tak działa rynek pozbawiony konkurencji. Można oczywiście powiedzieć, że

to cena patriotyzmu gospodarczego i że lepiej, żeby pieniądze zostawały w kraju, nawet jeśli oznacza to wyższe ceny. Tyle że dla przeciętnego Polaka patriotyzm kończy się często przy kasie, gdy widzi rachunek.

A jeśli *local content* ma polegać na tym, że zagraniczna konkurencja znika, a krajowy monopol może spokojnie podnosić ceny, to coś tu się z punktu widzenia obywatela nie zgadza.

TADEUSZ JASIŃSKI

Życie w dobrobycie

● W polskim systemie emerytalnym od lat obowiązuje zasada, że im więcej człowiek pracuje, tym częściej na starość dowiaduje się, że powinien był wybrać inny zawód. Najlepiej taki, w którym zamiast przez 35, 40 albo 45 lat odkładać składki do ZUS i z drżeniem ręki sprawdzać przyszłe wyliczenia świadczenia, wystarczy założyć mundur. Osoby, które rozpoczęły służbę przed 2013 r., mogą przejść na świadczenie wyliczane według ostatniego wynagrodzenia, a nie od całego życia zawodowego. Oznacza to, że pod koniec służby często pojawiają się „awanse na pożegnanie". Dla cywilów wygląda to niemal egzotycznie. W ZUS od reformy z 1999 r. wszystko liczy się bezlitośnie. Każda składka z co najmniej 20 lub 25 lat pracy, każda umowa, każda luka w zatrudnieniu, każdy rok z niską pensją. Mundurowy przez lata nie płaci klasycznych składek emerytalnych, a mimo to może odejść po 15 latach służby. Jeśli zaczął młodo, to teoretycznie nawet w wieku 36 lat. Po 15 latach dostaje 40 proc. podstawy, a każdy kolejny rok podnosi świadczenie o 2,6 proc. To oznacza, że po 20 latach robi się 53 proc., po 25 latach 66 proc., a przy odpowiednio długiej służbie można dojść do poziomu 75 proc. podstawy. Podstawy, przypomnijmy, często zbudowanej na końcowym, najwyższym wynagrodzeniu. Dlatego średnia emerytura wojskowa w 2025 r. wynosiła około 6,4 tys. zł brutto. Oficerowie starsi inkasowali ponad 8,2 tys. zł, młodsi około 5,5 tys. zł. Podoficerowie – 4,2 tys. zł. Nawet szeregowi przekraczali 3,6 tys. zł. Dla porównania przeciętna emerytura wypłacana mężczyznom w systemie powszechnym to ok. 4,6 tys. zł brutto przy dwa razy dłuższym stażu pracy. Według ZUS liczba pracujących emerytów przekroczyła 870 tys. osób. To ponad 50 proc. więcej niż dziewięć lat wcześniej. Emeryt mundurowy może mieć nieco ponad 40 lat i drugą pensję – emeryt z ZUS ma niemal 70 lat i dodatkową pracę, bo rachunki same się nie zapłacą. Tylko dlatego, że nie został wojakiem.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

● Gdy maturzyści liczą punkty, procenty i szanse dostania się na wymarzony kierunek, dla części nauczycieli właśnie zaczyna się całkiem przyjemny sezon na dodatkowy zarobek. Wystarczy przejść szkolenie, dostać uprawnienia, wślizgnąć się do systemu egzaminacyjnego i zacząć sprawdzać. Bo choć od lat o nauczycielskich zarobkach mówi się głównie w kontekście narzekań, protestów i pikiet, to mało kto dodaje, że obok etatu istnieją też nader konkretne możliwości dorabiania. Jedną z bardziej lukratywnych są matury – trzeba tylko załapać się na fuchę egzaminatora. Podstawą do wyliczeń jest w tym roku kwota 6397 zł brutto, czyli średnie wynagrodzenie nauczyciela dyplomowanego, od którego liczy się stawki za dodatkowe zadania egzaminacyjne. Najwięcej z matur wyciągają poloniści. Za ocenę samego testu egzaminator dostaje około 16,77 zł. Za sprawdzenie wypracowania ponad 40 zł. Razem daje to ponad 57 zł za jeden kompletny arkusz rozszerzony. Jeśli więc egzaminator sprawdzi 100 prac, to na konto wpada około 5700 zł brutto. Przy 150 pracach robi się z tego już ponad 8550 zł. A przy 200 arkuszach, co dla wprawionych wyjadaczy systemu wcale nie jest abstrakcją, dodatkowy dochód przekracza 11 tys. zł. Matematycy też nie płaczą. Za sprawdzenie jednej matury podstawowej z królowej nauk egzaminator dostaje około 38,94 zł brutto od ucznia. Przy 100 arkuszach daje to 3894 zł. Przy 200 już niemal 7800 zł. A ponieważ matematyka jest obowiązkowa i zdaje ją niemal każdy maturzysta, pracy zwykle nie brakuje. Co więcej, tam gdzie polonista ślęczy godzinę nad jednym wypracowaniem, matematyk potrafi w tym samym czasie sprawdzić kilka arkuszy. Najskromniej wypadają językowcy. Za jedną pracę z języka obcego można dostać około 23,97 zł. Brzmi przeciętnie, ale jeśli ktoś sprawdzi 250 arkuszy, a takie przypadki w komisjach nikogo nie szokują, to na liczniku pojawia się prawie 6000 zł brutto. Czyli miesiąc matur może podwoić pensję. Na tym jednak możliwości się nie kończą – są jeszcze egzaminy ustne. Za przeprowadzenie egzaminu ustnego z języka polskiego nauczyciel może zarobić około 40,81 zł za jednego zdającego. Jeśli w ciągu dnia przewinie się 20 osób, to daje to ponad 816 zł. Przy pięciu dniach pracy robi się z tego ponad 4000 zł. I to bez zabierania stosu papierów do domu. Największe pieniądze czekają jednak tam, gdzie kończy się zwykłe sprawdzanie, a zaczyna zarządzanie. Przewodniczący zespołów egzaminatorów oraz weryfikatorzy mogą liczyć na najwyższe dodatki. I właśnie tu kończy się znana opowieść o nauczycielu, który żyje wyłącznie z pensji etatowej, bo belfer, podobnie jak niemal 870 tys. pracujących emerytów w Polsce, też potrafi dorabiać, jeśli tylko znajdzie sposób.

● Związek Powiatów Polskich wyliczył, że nawet 270 szpitali w Polsce może stać dziś na skraju bankructwa: „Zobowiązania ogółem samodzielnych publicznych zakładów opieki zdrowotnej, dla których podmiotami tworzącymi są powiaty i miasta na prawach powiatu, według stanu na koniec III kwartału 2025 r., wyniosły 9,3 mld zł i w stosunku do 2024 r. wykazywały tendencję rosnącą". Oznacza to tyle, że samorządowe szpitale wiszą wierzycielom i każdego miesiąca zadłużają się jeszcze bardziej. Ba, ponad 1,6 mld zł stanowią zobowiązania przeterminowane. Czyli takie, których nikt nie zapłacił. Wiceminister zdrowia przyznaje, że sytuacja jest trudna i resort analizuje mechanizm pożyczkowy. Czyli państwo zamierza ratować zadłużone szpitale kolejnym zadłużeniem. Najbardziej absurdalne jest to, że od lat wszyscy wiedzą, że ten model nie działa. Ministerstwo zrzuca winę na wyceny NFZ, NFZ – na ograniczone wpływy ze składek, samorządy na Warszawę, dyrektorzy na ustawy płacowe, lekarze winią system, pacjenci i media – wszystkich. Państwo od lat udaje, że ma system ochrony zdrowia, podczas gdy tak naprawdę wypracowało jedynie mechanizm przerzucania odpowiedzialności. Bo model, w którym minister rządzi, fundusz płaci, samorząd odpowiada finansowo, a pacjent czeka, jest zwyczajnym administracyjnym idiotyzmem, który od lat produkuje to samo – długi, chaos, zamykane oddziały i polityków, którzy od dekad zapowiadają, że teraz to już naprawdę będzie lepiej.

● Kiedy w Polsce pojawia się amerykańskie logo, kilka flag, trochę marketingowego dymu, parę zdjęć z prezesami w garniturach i obowiązkowe słowa o „strategicznym partnerstwie", „najnowocześniejszych technologiach" oraz „budowaniu globalnych kompetencji", media natychmiast wpadają w zachwyt. Tak jak w chwili, gdy amerykański gigant lotniczy Pratt & Whitney z wielką pompą ogłosił inwestycję w Rzeszowie. Szef polskiego oddziału przekonuje, że na Podkarpaciu powstawać będą elementy pracujące „w temperaturach przekraczających 1000 stopni Celsjusza, przy bardzo wysokich prędkościach obrotowych oraz dużych przeciążeniach, a jednocześnie muszą zachować niezawodność przez tysiące godzin eksploatacji". Brzmi imponująco, problem zaczyna się jednak wtedy, kiedy zza tej całej propagandowej mgły wyłania się kwota, którą amerykański koncern pragnie zainwestować – 100 mln dol. W przeliczeniu na złotówki jakieś 370 mln zł. W kraju, w którym jedna średniej wielkości galeria handlowa potrafi kosztować ponad pół miliarda, w którym budowa kilku kilometrów drogi ekspresowej pochłania ponad miliard, próba przedstawiania 100 mln dol. jako inwestycyjnego trzęsienia ziemi zakrawa na ekonomiczny cyrk. Zwłaszcza że mówimy o Pratt & Whitney, firmie działającej w strukturach RTX, czyli koncernu, który w 2024 r. osiągnął przychody przekraczające 80 mld dol. Oznacza to, że inwestycja w Rzeszowie stanowi mniej więcej jedną ósmą procenta rocznych przychodów koncernu. Dalej jest jednak jeszcze śmieszniej, bo inwestycja za 100 mln dol. ma stworzyć 140 nowych miejsc pracy. Oczywiście można tłumaczyć, że to przemysł lotniczy, że specjalistyczna aparatura, że precyzyjna metalurgia, że ekstremalne parametry pracy komponentów. Wszystko prawda, ale tym bardziej rodzi się pytanie, czy za taką kwotę rzeczywiście powstaje ultranowoczesny zakład, czy raczej kolejny wydział istniejącej fabryki, do którego wstawia się kilka nowych maszyn, zatrudnia parę osób i opowiada mediom historię, jakby właśnie ruszał projekt porównywalny z budową stacji kosmicznej. Sam zresztą prezes firmy mówi, że nowy wydział będzie „integralną częścią już działającej fabryki". No i że uruchomienie produkcji planowane jest na początek 2028 r. Czyli od momentu ogłoszenia do startu miną niemal trzy lata. Trzy lata medialnych zachwytów nad inwestycją, która w skali amerykańskiego giganta jest odpowiednikiem drobnych wrzuconych do automatu z kawą.

TTJ

eprasa.pl fefc40b2c9

Koniec Oslo

Śmierć nadziei czy upadek iluzji?



Rys. Mohammad Sabaaneh

Największą odpowiedzialność za tę sytuację ponosi jednak społeczność międzynarodowa, a szczególnie Stany Zjednoczone. Waszyngton nigdy nie był neutralnym mediatorem. Kolejne administracje amerykańskie zapewniały Izraelowi ochronę polityczną, wojskową i dyplomatyczną,

W ostatnich miesiącach w Izraelu coraz głośniej mówi się o oficjalnym zerwaniu porozumień z Oslo. Politycy izraelskiej skrajnej prawicy otwarcie domagają się unieważnienia wszystkich umów podpisanych z Organizacją Wyzwolenia Palestyny i całkowitego zakończenia nawet formalnego procesu pokojowego rozpoczętego w 1993 r. Dla wielu z nich Oslo było „historycznym błędem", ponieważ pozostawiało – choćby symbolicznie – możliwość powstania państwa palestyńskiego.

Ministrowie związani z ruchem osadniczym, tacy jak Itamar Ben-Gwir, żądają pełnej izraelskiej kontroli nad okupowanym Zachodnim Brzegiem, dalszej rozbudowy kolonii żydowskich oraz likwidacji wszelkich ograniczeń wynikających z Oslo. Coraz częściej pojawiają się projekty ustaw mające uznać wszystkie porozumienia z Palestyńczykami za nieważne i przywrócić pełną kontrolę wojskową Izraela nad całym terytorium okupowanym.

Paradoks polega na tym, że dla wielu Palestyńczyków porozumienia z Oslo przestały być źródłem jakiejkolwiek nadziei już dawno temu — nie przez oficjalne deklaracje, lecz przez rzeczywistość okupacji, kolonizacji i systematycznego niszczenia szans na utworzenie niezależnego państwa palestyńskiego.

W 1993 r. porozumienia z Oslo były przedstawiane jako historyczna droga do pokoju i rozwiązania konfliktu. Jasir Arafat uwierzył, że negocjacje i kompromis doprowadzą do powstania państwa palestyńskiego choćby na 22 proc. historycznej Palestyny – na Zachodnim Brzegu i w Strefie Gazy. Wierzył również, że Stany Zjednoczone będą uczciwym gwarantem procesu pokojowego. Okazało się jednak, że Palestyńczycy otrzymali ograniczoną autonomię bez realnej suwerenności, podczas gdy Izrael zachował pełną kontrolę nad granicami, przestrzenią powietrzną, wodą, gospodarką i bezpieczeństwem.

Najważniejsze kwestie – Jerozolima, uchodźcy, granice i osadnictwo – zostały odłożone na później. To „później" nigdy nie nastąpiło. W praktyce Autonomia Palestyńska stała się administracją zarządzającą codziennym życiem Palestyńczyków pod okupacją, podczas gdy Izrael kontynuował politykę faktów dokonanych.

Właśnie dlatego coraz więcej Palestyńczyków uważa dziś, że Oslo było potrzebne przede wszystkim Izraelowi. Izraelski system okupacji i apartheidu otrzymał nowe narzędzie kontroli – tańsze, wygodniejsze i bardziej akceptowalne dla świata. Zamiast bezpośrednio zarządzać milionami Palestyńczyków, Izrael przekazał część obowiązków administracyjnych Autonomii Palestyńskiej, zachowując jednocześnie pełnię realnej władzy. Świat mógł mówić o „procesie pokojowym", podczas gdy okupacja trwała i pogłębiała się z roku na rok.

Najlepszym dowodem porażki Oslo jest ogromny wzrost liczby osiedli żydowskich i osadników na okupowanym Zachodnim Brzegu. W chwili podpisania porozumień było ich ćwierć miliona; obecnie 740 tys. chronionych przez izraelską armię osadników mieszka na ziemiach palestyńskich. Palestyńskie miasta i wsie zostały pocięte murami, checkpointami i drogami przeznaczonymi wyłącznie dla osadników. Terytorium, na którym miało powstać państwo palestyńskie, zostało rozbite na izolowane enklawy przypominające bantustany z czasów apartheidu w Republice Południowej Afryki.

W tym samym czasie izraelska scena polityczna przesuwała się coraz bardziej na prawo. Powstał silny nurt skrajnego nacjonalizmu i religijnego ekstremizmu. Politycy tacy jak Binjamin Netanjahu, Itamar Ben-Gwir czy Becalel Smotricz otwarcie sprzeciwiają się powstaniu państwa palestyńskiego i wspierają dalszą rozbudowę osiedli. To już nie margines polityczny, ale część centrum władzy w Izraelu.

Szczególnie Binjamin Netanjahu przez lata konsekwentnie podważał możliwość powstania suwerennego państwa palestyńskiego. Jednocześnie przedstawiał światu obraz Izraela jako „jedynej demokracji na Bliskim Wschodzie", podczas gdy miliony Palestyńczyków żyły pod okupacją, bez podstawowych praw i wolności. Coraz więcej organizacji praw człowieka oraz międzynarodowych ekspertów zaczęło określać ten system mianem apartheidu.

Dzisiejsza sytuacja w Strefie Gazy pokazuje ostateczny upadek całego procesu z Oslo. Świat obserwuje katastrofę humanitarną na niespotykaną skalę: dziesiątki tysięcy zabitych, ogromna liczba rannych, zniszczone szpitale, szkoły i obozy uchodźców. Wielu ekspertów prawa międzynarodowego, organizacji humanitarnych oraz środowisk akademickich mówi dziś otwarcie o ludobójczej wojnie przeciwko ludności palestyńskiej.

Oslo miało doprowadzić do pokoju i współistnienia. Tymczasem po 33 latach Palestyńczycy są bardziej rozproszeni, bardziej kontrolowani i bardziej pozbawieni nadziei niż wcześniej.

Równocześnie wzrosła liczba palestyńskich więźniów. Kolejne pokolenia Palestyńczyków dorastały pod okupacją, w cieniu nalotów, aresztowań i blokad. Wielu młodych ludzi nie zna żadnej rzeczywistości poza wojną i kontrolą wojskową. To również jest rezultat polityki, która miała rzekomo prowadzić do pokoju, blokując często realne działania międzynarodowe. Proces pokojowy stał się fasadą, za którą kontynuowano okupację.

Paradoksem historii pozostaje fakt, że premier Icchak Rabin, który podpisał Oslo, został zamordowany przez żydowskiego ekstremistę, ponieważ zgodził się na negocjacje z Palestyńczykami. Od tamtego momentu proces pokojowy zaczął się faktycznie rozpadać. Także śmierć Jasira Arafata do dziś budzi podejrzenia; wielu Palestyńczyków uważa, że został otruty, ponieważ odmówił pełnego podporządkowania się izraelskim żądaniom.

Efektem porozumień z Oslo było także powstanie uprzywilejowanej klasy politycznej i ekonomicznej powiązanej z systemem okupacji. Powstała grupa palestyńskich urzędników i biznesmenów korzystających z istniejącego układu, podczas gdy naród palestyński płacił cenę własną krwią, utratą ziemi i godności.

Obecny prezydent Palestyny Mahmud Abbas i jego otoczenie spotykają się z coraz większym gniewem społecznym z powodu korupcji, braku demokratycznej legitymacji i kontynuowania współpracy z okupantem. Palestyńskie służby bezpieczeństwa nie chronią ludności przed atakami izraelskiej armii ani przed terrorem faszystowskich osadników żydowskich na Zachodnim Brzegu. Wielu Palestyńczyków uważa wręcz, że palestyński aparat bezpieczeństwa został przekształcony w narzędzie tłumienia oporu i prześladowania przeciwników politycznych władz Autonomii.

Od początku niszczycielskiej wojny prowadzonej przeciwko Gazie przez rząd Binjamina Netanjahu społeczne oburzenie jeszcze bardziej wzrosło. Podczas gdy Palestyńczycy doświadczają masowych zabójstw, głodu i zniszczenia – kierownictwo Autonomii nie stanęło jednoznacznie po stronie własnego narodu i kontynuuje politykę, która utraciła zaufanie większości społeczeństwa.

OMAR FARIS

Gra na odwlekanie

Chcesz uniknąć kary? Wywołaj wojnę

Izraelski premier Binjamin Netanjahu znalazł skuteczny sposób na unikanie odpowiedzialności karnej. Wszczyna konflikty zbrojne, aby następnie uzasadnić niestawiennictwo przed sądem z powodu konfliktów, które sam wywołał.

12 kwietnia miała zostać wznowiona rozprawa sądowa przeciwko Netanjahu oskarżonemu m.in. o korupcję i defraudację. Grozi mu w sumie kara do 13 lat więzienia, o ile niektóre oskarżenia nie zostaną wycofane. Właśnie 12 kwietnia miał na tę okoliczność zostać przesłuchany. Jednak Netanjahu zwrócił się za pośrednictwem adwokata do sądu z prośbą o odroczenie terminu składania zeznań, uzasadniając to sytuacją bezpieczeństwa w rejonie Bliskiego Wschodu.

Wydawałoby się, że wojenna zawierucha nie powinna mieć nic wspólnego ze śledztwem korupcyjnym. Okazało się, że jednak ma. Jak napisał we wniosku do sądu adwokat premiera, chodzi tu o poufne kwestie bezpieczeństwa i dyplomatyczne wiążące się z „dramatycznymi wydarzeniami" w Izraelu i w rejonie Bliskiego Wschodu. Czy owe bieżące poufne kwestie dotyczące bezpieczeństwa i dyplomacji mają jakiś związek z ciągnącymi się od lat zarzutami korupcyjnymi? Wiadomo jedynie, że do sądu dostarczono zapieczętowaną kopertę zawierająca szczegółowe informacje co do tych poufności. Na ich podstawie sąd ma zadecydować o dalszym toku postępowania.

Jak twierdzą źródła izraelskie, najprawdopodobniej nie dojdzie do przesłuchań, ale będzie kontynuowane śledztwo prowadzone przez prokuraturę. Według izraelskiego „Jerusalem Post" cała procedura przeciwko Netanjahu została zamrożona na półtora miesiąca.

Na temat ewentualnego ukarania wypowiedział się jego najbliższy sojusznik Donald Trump, który ogosił, że albo sprawa sądowa będzie umorzona, albo premier Izraela powinien zostać ułaskawiony.

Aby usprawiedliwić uniki przed wymiarem sprawiedliwości, Netanjahu permanentnie wywołuje kolejne wojenne awantury. Izrael przyjął do wiadomości dwutygodniowe zawieszenie broni na froncie wojny z Iranem i wstrzymał bombardowania, ale równocześnie rozpętał kolejną walkę z Libanem, argumentując to zwalczaniem powiązanego z Iranem zbrojnego ugrupowania Hezbollah. Iran uznał, że w ten sposób Izrael naruszył warunki rozejmu i w odpowiedzi ponownie zablokował przepływ statków przez cieśninę Ormuz (oryginalna pisownia perska to „Hormuz", wymowa z akcentem na u). Strona izraelska, wspierana oczywiście przez Stany Zjednoczone, odpowiedziała, że porozumienie nie obejmuje walk w Libanie. Przeciwnego zdania jest nie tylko Teheran, ale też premier Pakistanu, gdzie miały miejsce negocjacje. Shehbaz Sharif stwierdził, że rozejm obowiązuje wszędzie, czyli również w Libanie.

Ostatnio doszło co prawda do zawarcia pomiędzy Izraelem a Libanem porozumienia w sprawie10-dniowego zawieszenia broni przedłużonego następnie o kolejne trzy tygodnie, jednak jest to, jak wszystko na Bliskim Wschodzie, porozumienie kruche, a na dodatek krótkotrwałe. Hezbollah zapowiedział, że będzie respektować zawieszenie broni, jednak pod warunkiem, że będzie się ono wiązało z całkowitym zaprzestaniem wrogich działań ze strony Izraela. Na podstawie dotychczasowych doświadczeń można mieć uzasadnione wątpliwości co do trwałości tego układu. Izrael nie dopuści do tego, aby na terenie Libanu działała wspierana przez Iran formacja zbrojna, a na rządzie w Bejrucie nie jest w stanie wymusić doprowadzenia do rozbrojenia Hezbollahu.

Kruchość tego porozumienia objawiła się już następnego dnia po zawarciu układu. Artyleria izraelskiej armii ostrzelała obiekty infrastruktury znajdujące się w pobliżu ustanowionej przez Izrael tzw. żółtej linii, twierdząc, iż mogły one być wykorzystane do ataku na Izrael. Owe żółte linie są arbitralnie ustalane przez stronę izraelską, a dla ich wzmocnienia stawiane są cementowe bloki. Również w kolejnych dniach dochodziło do wzajemnych ostrzeliwań, przy czym aktywniejsza była strona izraelska, podczas gdy Hezbollah atakował siły wroga z reguły w odwecie. Tymczasem izraelska armia utrzymuje, że akcje mające na celu samoobronę i zapobieganie zagrożeniom nie stanowią pogwałcenia zawieszenia broni.

Na kontynuowanie wojny z Hezbollahem izraelski premier dostał w ostatnich dniach przyzwolenie ze strony utworzonej przez Trumpa tzw. Rady Pokoju. Nie jest to co prawda organ mający jakąkolwiek moc decyzyjną – jednak dla ciąganego po sądach Netanjahu jest to dodatkowy argument.

W wyniku izraelskich ostrzałów giną nie tylko bojownicy Hezbollahu i osoby cywilne, w tym dzieci. W Libanie zginęło czterech indonezyjskich żołnierzy pełniących służbę w ramach misji pokojowej UNIFIL, tzw. Błękitnych Hełmów. Rząd Indonezji zwrócił się do ONZ z żądaniem przeprowadzenia natychmiastowego gruntownego i transparentnego śledztwa w tej sprawie. Choć ludzie niemal codziennie giną od izraelskich kul, uwagę telewizyjnych tabloidów przykuło zabójstwo libańskiej dziennikarki Amal Chalil, która została trafiona w momencie, gdy biegła do schronu. To jest dopiero news, a nie zabijanie nieznanych osób!



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wywołanie awantury w Libanie to konsekwentna taktyka Tel Awiwu polegająca na wszczynaniu według własnego uznania wojen zaczepnych – atak na Iran jest tego doskonałym przykładem.

Podsycając nieustannie napięcie na Bliskim Wschodzie, Netanjahu próbuje odwrócić uwagę od swoich prawnych problemów. Stara się też we własnym społeczeństwie kultywować wizerunek odważnego i nieprzejednanego bojownika, który jak nikt inny zdolny jest zadbać o bezpieczeństwo Izraela.

Czy pomoże mu to uniknąć odpowiedzialności karnej? Jego skazanie nie byłoby bynajmniej precedensem. Poprzedni premier Ehud Olmert w 2015 r. trafił do więzienia za korupcję. W 2011 r. były prezydent Mosze Kacaw został skazany za gwałty. Binjamin Netanjahu na wszelkie sposoby stara się, aby nie dołączyć do tego szacownego grona.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

eprasa.pl fefc40b2c9



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Matka Boska z petem w zębach

Izrael jebie w krzyżu

Premier Izraela Binjamin Netanjahu uwielbia podkreślać, że Izrael jest jedynym państwem Bliskiego Wschodu, które chroni chrześcijan przed przemocą ze strony radykalnego islamu. Bibi kontrastuje to z prześladowaniami chrześcijan w krajach muzułmańskich – Syrii, Libanie czy Nigerii. Ta retoryka jest szczególnie mocno pompowana wobec odbiorców chrześcijańskich w USA (zwłaszcza ewangelików) oraz europejskich prawicowców. Legitymizacja działań Izraela jako obrony nie tylko żydowskiej, ale cywilizacyjnej poszła się chędożyć, kiedy do opinii publicznej zaczęły przeciekać świadectwa licznych aktów agresji ze strony Żydów wobec chrześcijańskich mniejszości. Bibi ma na to receptę.

Żydzi biją

Cytowany we francuskim katolickim dzienniku „Le Croix" izraelski jezuita o. David Neuhaus podkreślił, że rząd stara się przedstawiać te ataki jako odosobnione incydenty. Powiedział jednak: „W Izraelu wyczuwa się odrzucenie innych, podsycane przez bardzo silną politykę etnocentryczną i nacjonalistyczną".

Ataki zostały podzielone na dwie kategorie: *smash* i *squeeze*. Co można luźno przetłumaczyć jako miażdżenie i ściskanie. *Smash* odnosi się do wandalizmu miejsc kultu religijnego. Z kolei *squeeze* to subtelniejsze formy dyskryminacji, które zmuszają członków społeczności chrześcijańskiej do zejścia do kanałów. Wachlarz działań jest szeroki: opluwanie księży, traktowanie duchowieństwa gazem pieprzowym czy naciski na zakonnice, by rezygnowały z noszenia krzyży. Z początkiem maja sieć internetową obiegło nagranie monitoringu na górze Syjon, gdzie jedna z francuskich sióstr dostała oklep od 36-letniego Izraelczyka. Na filmie widać, jak dominikanka przeszła przez bramy benedyktyńskiego opactwa Zaśnięcia Matki Bożej, a po chwili pojawił się pieszy, który gwałtownie uderzył ją w plecy i powalił na ziemię. Mężczyzna odsunął się, ale zmienił zdanie. Rzucił się z powrotem na ofiarę i kopnął w twarz, kiedy leżała na ziemi. Przełożony asumpcjonistów w Jerozolimie o. Jean-Luc Eckert zwrócił się z apelem do braci i sióstr, aby zachowali szczególną ostrożność, unikali noszenia krzyża lub habitu w widoczny sposób oraz przebywania samotnie w niektórych miejscach. Zapachniało prześladowaniami.

Ataki na chrześcijan na Zachodnim Brzegu potępił także w ostrym tonie biskup pomocniczy Patriarchatu Jerozolimy William Shomali. Działania osadników określił mianem „żydowskiego terroru" i przypomniał, że przemoc szerzy się również na terenie, który był dotąd względnie spokojny, w tym Betlejem. Pod koniec marca żydowscy osadnicy zaatakowali zamieszkiwane przez chrześcijan Bajt Dżala, gdzie ostrzelali samochody i pobili kilka osób. Kilka dni wcześniej napadli na mieszkańców Taybeh, ostatniej całkowicie chrześcijańskiej osady w Palestynie. Przy okazji splądrowali cementownię i kamieniołom, stanowiące ważne źródło utrzymania dla lokalsów.

Podpalenia i palenie

Jerozolimskie Centrum Edukacji i Dialogu im. Rossinga opublikowało raport z 2025 r. na temat ataków na chrześcijan we wschodniej Jerozolimie i Izraelu. Wynika z niego, że w porównaniu z 2024 r. nastąpił 40-procentowy wzrost liczby udokumentowanych wyskoków w stronę wyznawców brodatego cieśli. Wśród nich znalazło się 155 incydentów. Najczęstsze są napaści fizyczne i stanowią 39 proc. wszystkich zarejestrowanych spraw. Odnotowano również 52 ataki na obiekty sakralne (oprócz wcześniej wspomnianych także podpalenia, rzucanie kamieniami i śmieciami oraz niszczenie pomników), 28 przypadków nękania słownego i 14 przypadków niszczenia publicznych tablic z treściami chrześcijańskimi. Netanjahu określa takie incydenty jako „odstępstwa" sprzeczne z wartościami Izraela. Zdarzają się aresztowania sprawców, ale organizacje monitorujące, jak Religious Freedom Data Center, duchowni chrześcijańscy czy izraelskie lewicowe NGO wskazują na niską skuteczność postępowań. Większość zgłoszonych wyskoków kończy się na etapie śledztwa lub jest umarzana bez postawienia zarzutów. Niska skuteczność postępowań i łagodne wyroki są cichym przyzwoleniem na kulturę względnej bezkarności. Ta sięga również poza granice Izraela.

Z końcem kwietnia br. światło dzienne ujrzało nagranie, na którym izraelski żołnierz niszczy toporem figurę ukrzyżowanego Jezusa, która spadła z krzyża w libańskiej wiosce. Na innych zdjęciach widać, jak żołnierz IDF wtyka papierosa w usta figury Matki Boskiej w chrześcijańskiej wiosce na południu Libanu. Armia Izraela przekazała, że żołdak zostanie ukarany dyscyplinarnie i że „zachowanie wojskowego widoczne na zdjęciu odbiega od wartości oczekiwanych od żołnierzy". Wiadomo, wszak IDF to najbardziej humanitarna armia świata…

Fotka podkurwiła polski resort dyplomacji. „Ministerstwo Spraw Zagranicznych z oburzeniem odnotowuje kolejny przypadek znieważenia uczuć religijnych przez żołnierza Izraelskich Sił Obrony (IDF) w Libanie. Pogarda, z jaką potraktował figurę Matki Boskiej, obraża wrażliwość chrześcijan" – napisał rzecznik MSZ Maciej Wiewiór na X. Podkreślił, że przystępując do ONZ, Izrael przyjął wartości tej organizacji wyrażone w deklaracji, wśród których jest m.in. prawo do wolności myśli, sumienia i religii. Dalej było jeszcze śmieszniej. „W Polsce znieważanie czyichkolwiek uczuć religijnych jest czynem karalnym. Kolejny incydent z udziałem przedstawiciela Państwa Izrael, naruszający uczucia religijne chrześcijan, nie tworzy atmosfery sprzyjającej pokojowi na Bliskim Wschodzie i rozwojowi współpracy" – napisał Wiewiór. Rozsierdził się też sam Radzio. „Żołnierze IDF jednak wymagają szkolenia z szacunku do innych religii i kultur. Kolejne ofiary w Strefie Gazy oraz ekscesy osadników na Zachodnim Brzegu też są niedopuszczalne" – orzekł Sikorski na X. Zaznaczył, że jako siła okupacyjna Izrael odpowiada za traktowanie ludzi, nad którymi sprawuje kontrolę.

Polskie MSZ, które dopiero latem 2025 r. pod naporem opinii publicznej zaczęło przebąkiwać o katastrofie humanitarnej w Strefie Gazy, dostało wkurwu na peta w ustach Matki Boskiej z Libanu. Na dokładkę powołało się na jeden z najgłupszych i najszkodliwszych paragrafów w krajowym prawie.

Paradne, ale też pokazuje, że coś w tej izraelskiej propagandzie zaczęło kruszeć i uwierać katolickie dupy.

Uwierzą naiwni

23 kwietnia Izrael powołał specjalnego wysłannika ds. świata chrześcijańskiego. Urząd objął George Deek – arabski chrześcijanin z Jaffy, weteran dyplomacji izraelskiej z 18-letnim doświadczeniem. Był m.in. ambasadorem Izraela w Azerbejdżanie i jest pierwszym chrześcijaninem, który kiedykolwiek pełnił funkcję ambasadora Izraela. Deek będzie pogłębiał i wzmacniał relacje Izraela ze społecznościami chrześcijańskimi na całym świecie. To nie koniec. Jak poinformował dziennik „Israel Ha-Jom", Izrael, aby poprawić swój nieco uświniony wizerunek, zamierza w tym roku zaprosić do kraju 8 tys. chrześcijańskich influencerów, którzy mają promować pozytywny obraz państwa na świecie. Izraelskie MSZ podkreśla, że celem jest dotarcie do młodych ludzi i zachęcenie ich do dzielenia się pozytywnymi opiniami o Izraelu po powrocie do swoich krajów. Ciekawe, czy negatywnymi też, he, he. Netanjahu wielokrotnie mówił, że media społecznościowe (zwłaszcza TikTok i X) to najważniejsza broń w walce o opinię publiczną. Czy ktoś to łyknie? Z pewnością.

W ostatnim czasie konta izraelskiej hasbary masowo propagowały materiały, jakoby muzułmański burmistrz Nowego Jorku Zohran Mamdani ogłosił bankructwo miasta. To oczywista bzdura. Na początku kadencji Mamdani i kontroler miasta Mark Levine ogłosili deficyt budżetowy rzędu 12 mld dol. na dwa lata fiskalne 2026 i 2027. Mamdani nazwał to kryzysem fiskalnym o historycznej skali – i podkreślił że winę za zadłużenie miasta ponosi poprzednia administracja Erica Adamsa, która zaniżała wydatki i wykorzystywała tymczasowe fundusze federalne z pandemii do ukrywania prawdziwej skali problemów. W kolejnych tygodniach deficyt został skorygowany w dół (do 5,4 mld dol.) dzięki lepszej prognozie dochodów i wykorzystaniu rezerw.

„Mamdani właśnie ogłosił de facto bankructwo Nowego Jorku. Przewidywałem to, ale sądziłem, że potrwa to ciut dłużej niż kilka miesięcy. Rządy komunistów kończą się katastrofą zawsze" – ucieszył się na X Tomasz Lis. Ataki na siostry i braci w wierze skomentował tak: „Szef dyplomacji i premier Izraela kategorycznie potępili zniszczenie posągu Chrystusa przez żołnierzy IDF. Właściwa reakcja. Nigdzie na świecie chrześcijanie nie muszą się bać Żydów. Powody do obaw mają tylko przed islamistami".

IDALIA DUBICKA

Petrokasa Netanjahu

Izrael wykombinował, jak zarobić na wojnie z Iranem

Mimo zawieszenia broni cieśnina Ormuz wciąż pozostaje zamknięta. Niektóre statki (głównie z Chin, Indii czy Pakistanu) nadal próbują przepływać za opłatami lub na specjalnych warunkach, ale to sytuacje marginalne i ryzykowne. Blokada strategicznej cieśniny podbija cenę średnio o pięć dolców za baryłkę tygodniowo. Analitycy ostrzegają, że przy przedłużeniu kryzysu do lipca ceny mogą skoczyć nawet do 140–150 dol. Zakończenia konfliktu nie widać. Nawet gdyby wojna skończyła się jutro, Pentagon szacuje, że pełne oczyszczenie z min irańskich może zająć nawet sześć miesięcy. Wszystko jednak zależy od trwałości porozumienia, usunięcia blokad i braku incydentów; jakakolwiek drobna eskalacja konfliktu w regionie może ponownie zagrozić jednemu z najważniejszych szlaków energetycznych świata. Z pomysłem na rozwiązanie tego problemu wystąpił niezastąpiony Binjamin Netanjahu.

Pod koniec marca podczas konferencji prasowej w Jerozolimie premier Izraela przedstawił plan, który ma na celu trwałe uniezależnienie światowych rynków od zagrożeń w cieśninie Ormuz.

– To realna zmiana, która nastąpi po tej wojnie. Wyeliminujemy punkty zapalne raz na zawsze – zapowiedział gołąbek pokoju. – Wystarczy poprowadzić ropociągi i gazociągi na zachód, przez Półwysep Arabski aż do samego Izraela i naszych portów nad Morzem Śródziemnym. W ten sposób raz na zawsze zlikwidujemy wąskie gardła transportu surowców – dodał. Oczywiście największym beneficjentem imprezy byłby sam Izrael.

Od lat 60. ubiegłego wieku Izrael dysponuje rurociągiem Ejlat–Aszkelon, obsługiwanym przez Europe Asia Pipeline Company. Rurociąg umożliwia przepływ ropy naftowej między Morzem Czerwonym a Morzem Śródziemnym, pełniąc funkcję mostu lądowego między Bliskim Wschodem a Europą. Co ciekawe, firma pierwotnie była założona jako spółka między Izraelem a Iranem (w 1968 r.) w celu transportowania ropy naftowej z Iranu do Europy. 11 lat później, po irańskiej rewolucji, Izrael znacjonalizował firmę. W 2015 r. szwajcarski sąd nakazał Izraelowi zapłatę Iranowi 1,1 mld dol. odszkodowania za ten manewr, ale ten odmówił, powołując się na zapisy ustawy o handlu z wrogiem.

Arabia Saudyjska eksploatuje zaś rurociąg Wschód–Zachód, tzw. Petroline. Pędzi nim ropa ze wschodnich złóż Arabii Saudyjskiej do portu Janbu nad Morzem Czerwonym. Infrastruktura powstała po to, żeby ratować saudyjską dupę w przypadku problemów w cieśninie Ormuz. Teoretycznie ropa naftowa, która dociera z Zatoki Perskiej rurociągiem saudyjskim do Morza Czerwonego, mogłaby być transportowana do Ejlatu, pompowana rurociągiem Ejlat–Aszkelon, a dalej transportowana do Europy przez Morze Śródziemne. Technicznie połączenie jest relatywnie proste, gorzej z polityką (póki co).

Według izraelskich urzędników koncepcja rurociągu była dyskutowana od lat, również podczas pierwszej kadencji prezydenta Donalda Trumpa. Waszyngton finansował już wcześniej zakrojone na szeroką skalę projekty energetyczne w Zatoce Perskiej. W 2012 r. Amerykański Export-Import Bank (EXIM) zainwestował prawie 5 mld dol. w kompleks petrochemiczny we wschodniej Arabii Saudyjskiej. Jeśli USA są zdolne przepalać na „Epicką Furię" 500 mln dol. dziennie (do nawet 2 mld), to czymże byłaby dla nich budowa rury?

Według źródeł izraelskich Stany Zjednoczone pokazały silne zainteresowanie reanimowanym przez Netanjahu pomysłem. Trudno się dziwić. Idea pasuje do długoterminowej strategii USA: osłabienia wpływu Iranu na globalny rynek energii, dywersyfikacji szlaków transportowych i pogłębienia integracji Izraela z państwami Zatoki w duchu utworzonych przez gabinet Trumpa Porozumień Abrahamowych. Dowcip polega na tym, że Arabia Saudyjska nie podpisała tych porozumień, tak jak zrobiły to Zjednoczone Emiraty Arabskie czy Bahrajn. Rijad wiąże ewentualną normalizację z postępami w sprawie palestyńskiej, konkretnie utworzenie niepodległego

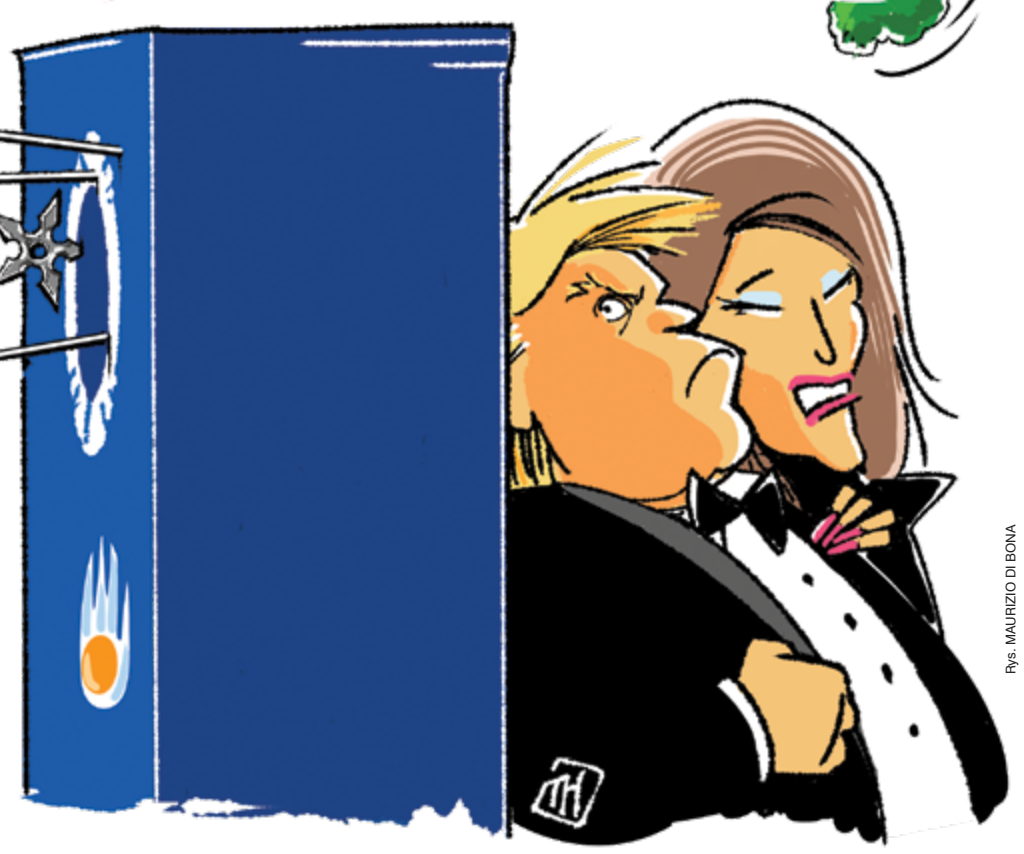


Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl fefc40b2c9

Bunt na oddziale

Król jest nagi


Rys. MAURIZIO DI BONA

Do tej pory Donald Trump wyzywał w swoich social mediach demokratów, kobiety, lewicowych aktywistów, Zełenskiego albo śmieszkujących z prezydenta komików. W ostatnich tygodniach na cel wziął także konserwatywnych dziennikarzy.

USA i Trumpowi wojna w Iranie była potrzebna jak zima pod Stalingradem. Partię prezydenta czekają w listopadzie ważne wybory do Kongresu, a i bez awantury i drożejącej benzyny notowania republikanów i samego Trumpa były niskie.

Atakując Iran, Trump wyrzucił do kosza własną obietnicę *no new wars* (żadnych nowych wojen). Przez chwilę wydawało się, że ryzyko się opłaci. Wojna miała zakończyć się szybkim zwycięstwem, a Trump przecież już tyle razy zmieniał zdanie i przeczył sam sobie, że jego wyborcy się przyzwyczaili.

Tym razem jednak było inaczej. Część jego najwierniejszych wyznawców – influencerów, komentatorów i gwiazd internetu obietnicę braku nowych wojen traktowała poważnie. Oni naprawdę uwierzyli, że „America First" oznacza Amerykę zajętą własnymi problemami, a nie Amerykę rozpoczynającą wielką geopolityczną awanturę. W świątyni MAGA wyznawcy w końcu podnieśli głos przeciwko kapłanowi.

Najpotężniejszy

Najpierw odezwał się Joe Rogan – człowiek, który przeszedł drogę od prowadzącego teleturniej z ludźmi jedzącymi robaki do najpotężniejszego influencera w USA. Jego podcast „Joe Rogan Experience" jest czymś więcej niż audycją – to dziś coś w rodzaju nieformalnego parlamentu internetu, gdzie politycy przychodzą po błogosławieństwo.

Trump był tam w 2024 r., siedział wygodnie, mówił długo i bez trudniejszych pytań, Rogan słuchał z charakterystycznym półuśmiechem człowieka, który nie do końca wierzy, ale nie zamierza się kłócić. Wielu twierdziło później, że ta rozmowa i niemal otwarte poparcie Rogana otworzyły Trumpowi drzwi do młodszych wyborców i dały wygraną w wyborach.

Tym większe było zdziwienie, kiedy Rogan zaczął się krzywić i krytykować politykę nowej administracji. Najpierw przy deportacjach – bo okazało się, że „porządek na granicy" wygląda mniej jak film akcji, a bardziej jak wielka operacja zamiatania ludzi pod dywan. Rogan, jak wielu ludzi z jego świata, chyba naprawdę wierzył, że chodzi o deportację gangsterów, facetów z tatuażami jak z serialu „Narcos Mexico", a nie o ludzi, którzy uczciwie pracują, ale źle wyglądają w oczach funkcjonariusza.

Prawdziwy zgrzyt przyszedł przy Iranie. Rogan, który lubi rozmawiać o wszystkim – o UFO, dietach i walkach w oktagonie – nagle spoważniał. Wojna, chaotyczne wpisy Trumpa, jego dziwne ataki na komików, aresztowanie pod zarzutem groźby zamachu byłego szefa FBI Jamesa Comeya (Comey wrzucił zdjęcie zrobionego z muszelek na piasku napisu „86 47", co można tłumaczyć jako „pozbyć się 47. prezydenta USA") sprawiły, że Rogan razem ze swoimi gośćmi otwarcie zaczął krytykować, a nawet wyśmiewać politykę prezydenta.

Walczący z demonami

Znacznie mniej subtelny w krytyce Trumpa stał się nagle Tucker Carlson. Przez lata był jedną z twarzy stacji Fox News, gdzie pełnił rolę nadwornego kronikarza trumpizmu. Do tej pory powtarzał za Trumpem najgłupsze kłamstwa, w tym historie o ukradzionych wyborach w 2020 r., oszukanych maszynach do liczenia głosów, co doprowadziło pracodawcę Carlsona do konieczności zapłaty ogromnego odszkodowania producentowi owych maszyn Dominion Voting Systems i w efekcie zwolnienia Carlsona z Fox News. Przeniósł się do swojego przyjaciela Elona Muska – na platformę X.

W mediach społecznościowych Carlson przedstawia się jako żarliwy katolik, opowiada, że został zaatakowany przez demony, które pozostawiły mu krwawiącą ranę i ślady kłów. Carlson widzi świat jako starcie cywilizacji, demonów i aniołów, ale nagle uznał, że atak na Iran to już za dużo. Jego rozmowa z senatorem republikańskim Tedem Cruzem wyglądała jak scena z komedii: dziennikarz zadawał proste pytania o kraj, z którym chce się walczyć, a polityk nie umiał odpowiedzieć nawet, ilu Iran ma mieszkańców.

Carlson bardzo ostro skrytykował też bluźnierstwo, gdy Trump na Wielkanoc pisał pełne nienawiści groźby wobec Iranu oraz zamieścił grafikę, na której wygląda jak Jezus. Podobno Carlson dzwonił w tej sprawie do Trumpa, próbując przemówić mu do rozsądku, ale – niespodzianka – nie udało mu się. Dzisiaj Trump wyśmiewa Carlsona w social mediach, a Carlson nadal mówi o Trumpie z czymś w rodzaju uczucia. „Wciąż kocham Trumpa, ale jest mi go żal" – to zdanie brzmi bardziej jak komentarz po rozstaniu niż analiza polityczna.

Najgłupszy

Jeśli Carlson brzmi jak rozczarowany kochanek, to Alex Jones brzmi jak człowiek, który od początku podejrzewał, że statek jest przeklęty, a kapitan pijany.

Jones od lat buduje alternatywną rzeczywistość, w której każdy globalny kryzys jest częścią większego planu. Zamachy, strzelaniny, pandemie – wszystko ma swoje „prawdziwe" wyjaśnienie i jest zarządzane przez rząd światowy.

Najgłupsze kłamstwo Alexa Jonesa dotyczyło strzelaniny w szkole podstawowej Sandy Hook, gdzie zginęło 20 pierwszoklasistów. Jones twierdził, że masakry i ofiar w szkole nie było, bo była to tylko inscenizacja zorganizowana i opłacona przez przeciwników prawa do posiadania broni. Rodzice dzieci pozwali Jonesa, sąd nie miał wątpliwości i zasądził ogromne odszkodowanie. Alex Jones musiał sprzedać swoją firmę medialną (do kupna zgłosił się satyryczny portal The Onion), by je zapłacić.

Do tej pory Jones swoimi teoriami wspierał Trumpa i atakował jego przeciwników. Gdy Trump uderzył w Iran, Jones zgodnie ze swoim widzeniem świata nie miał wątpliwości: to nie była amerykańska decyzja. To plan globalistów, Nowy Porządek Świata, wielka układanka, w której Trump – świadomie lub nie – stał się pionkiem Izraela i rządu światowego sensu largo.

Jones w swoim programie radiowym otwarcie nawoływał współpracowników prezydenta do zastosowania 25. poprawki do konstytucji, czyli usunięcia prezydenta z urzędu z uwagi na niezdolność umysłową do sprawowania urzędu. Nazwał Trumpa wariatem.

Kobiety MAGA

Podobną drogę przeszła Candace Owens. Owens przez lata była jedną z najbardziej rozpoznawalnych twarzy młodego ruchu MAGA, związaną z Turning Point USA, gdzie robiła karierę jako bezkompromisowa komentatorka.

Jej opowieść o świecie była prosta: media kłamią, lewica przesadza, a Trump jest zbawcą cywilizacji Zachodu. Powtarzała większość teorii spiskowych alt-prawicy, w tym o kontrolowanej pandemii i szkodliwości szczepionek. Ale Iran zmienił wszystko. Pojawił się konflikt lojalności – między Trumpem a niechęcią do polityki Izraela. I tym razem wygrała ta druga. Owens zaczęła mówić o Trumpie w sposób, który jeszcze chwilę wcześniej byłby nie do pomyślenia. Pojawiły się słowa o szaleństwie, o zdradzie wyborców, nawet o konieczności odsunięcia go od władzy. W świecie MAGA to nie jest zwykła krytyka. To herezja.

A jest jeszcze Megyn Kelly – może najmniej krzykliwa z całej tej grupy, ale przez to najbardziej znacząca. Kelly zna ten świat od środka, była jego częścią, współtworzyła go przez lata – tak jak Tucker Carlson – w telewizji Fox News. I właśnie dlatego jej rozczarowanie brzmi inaczej. Mniej jak bunt, bardziej jak zmęczenie. W rozmowie w popularnym programie youtube'owym „Piers Morgan Uncensored" powiedziała głośno, że „Trump zdradził MAGA", i że prezydent USA był pionkiem w grze premiera Izraela.

Trump MMA

Reakcja Trumpa była przewidywalna. Wszedł na swoje konto na swoim portalu Truth Social i zwyzywał swoich dawnych zwolenników. Zamienił polityczny spór w coś na kształt internetowej bijatyki przed galą Fame MMA, gdzie każdy cios musi być głośniejszy i bardziej obraźliwy.

Trump stwierdził mniej więcej: ci wszyscy internetowi prorocy są tak oderwani od rzeczywistości, że zaraz będą kibicować Iranowi w budowie nuklearnych bomb. Potem odpalił klasyczne trumpowe combo: „niskie IQ", „wariaci", „przegrywy".

Najmocniej dostało się Tuckerowi Carlsonowi – Trump nazwał go czymś w stylu „machającego rękami błazna", który wciąż jest obrażony po wyrzuceniu z Fox News.

Candace Owens zaatakował tak, jak macho atakuje kobietę. Stwierdził, że po pierwsze jest głupia, bo wierzy w teorię, że pierwsza dama Francji Brigitte Macron jest mężczyzną przebraną za kobietę (Owens rzeczywiście promowała tę teorię). A po drugie jest dużo brzydsza niż pani Macron, która jest bardzo ładna, a Trump na nadzieję, że państwo Macron pozwą Owens i dostaną miliony odszkodowania.

Alexa Jonesa nazwał wariatem i bankrutem (trudno się nie zgodzić), a Megyn Kelly wypomniał głupie pytania, które w telewizyjnym wydaniu mu zadawała.

Rogan – jak na razie – został pominięty, co w trumpowskim świecie jest formą najwyższego uznania: „jesteś zbyt potężny, by być moim wrogiem".

Historia nie ma na razie prostego zakończenia. Bo to nie jest zwykły polityczny rozłam. To raczej moment, w którym ruch zbudowany na lojalności odkrywa, że lojalność ma swoje granice. A jego lider – po raz pierwszy od dawna – musi się zmierzyć z tym, że nie wszyscy chcą już klaskać.

LEON ORŁOWSKI

państwa palestyńskiego ze stolicą we wschodniej Jerozolimie. Bez tego połączenie infrastrukturalne z Izraelem byłoby politycznie kosztowne dla Saudów. Pytanie, jak bardzo.

Arabia Saudyjska zużywa ok. 90 mld m sześc. gazu rocznie na produkcję prądu i odsalanie wody. Jednak wyprodukowanie prądu z gazu wymaga tego, aby ten gaz oddzielić od ropy. Przez pierepałki z wydobyciem ropy na eksport Saudyjczycy tracą część swojej produkcji energii elektrycznej. Dodatkowo gospodarka Arabii Saudyjskiej potrzebuje LPG, gdyż ten służy gospodarstwom domowym i małym firmom. Saudowie zapowiadają ogromne inwestycje w USA (m.in. w AI), Trump może powiązać to z dealem na rury. Arabia Saudyjska aktywnie dąży do rozwoju własnego programu nuklearnego. Oficjalnie dla energetyki cywilnej, chociaż wiewiórki donoszą, że ambicje mają również wymiar strategiczny i militarny w kontekście rywalizacji z Iranem. Marchewek na kiju prezydenta USA jest sporo.

Pomysł rozbudowy infrastruktury pompuje Landon Derentz, ekspert ds. polityki energetycznej, który pełnił funkcję dyrektora ds. energii w Białym Domu (obecnie wiceprezes ds. energii i infrastruktury w Atlantic Council Global Energy Center). Derentz mówi wprost, że USA i ich sojusznicy powinni zbudować zakrojoną na szeroką skalę infrastrukturę energetyczną omijającą cieśninę. W jednej z wypowiedzi podkreślił, że ochrona nowego obiektu przed dronowymi atakami mogłaby wspomóc Ukrainę. „Niektóre kontakty dyplomatyczne między Ukrainą a partnerami z Zatoki Perskiej – zwłaszcza Arabią Saudyjską i Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi – sugerują, że taka współpraca już się kształtuje" – zaznaczył. Przyrównał nawet ideę do wysiłku na miarę II wojny światowej, kiedy alianci po lądowaniu w Normandii rozpoczęli operację Pluto, aby dostarczyć paliwo do Europy kontynentalnej przez kanał La Manche. „Było to jedno z najambitniejszych przedsięwzięć inżynieryjnych wojny i przyczyniło się do zwycięstwa" – podmaślił w jednym z felietonów. Miód na uszy Trumpa.

Utworzenie takiego korytarza uczyniłoby Izrael punktem globalnego systemu energetycznego. Opłaty tranzytowe, magazynowanie, usługi portowe – nawet przy częściowym wykorzystaniu to setki milionów dolarów rocznie, a w szczycie nawet potencjał na miliardy.

Trzon nowej architektury gospodarczej byłby w rękach zbrodniarza wojennego, który dokonuje czystek etnicznych w Gazie i Libanie. Niewesoła perspektywa. Pytanie, czy Trump zasponsoruje Izraelowi kurę znoszącą złote jaja, pozostaje otwarte.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl fefc40b2c9

Pleban z castingu

Wikary uderza w konkury do biskupa

„Ja mam proboszcza, Ty masz proboszcza. Proboszcz to tutaj władza najwyższa. Czuwa nade mną bardzo starannie. Przeszukiwane moje sumienie. To zgroza!" – śpiewał kiedyś Kazik Staszewski. Dziś już może by tak nie zaśpiewał, bo Jezus odwiedził go w szpitalu i piosenkarz otrzymał łaskę pewności, że Bóg jest. Woli więc nie zadzierać z jego ziemskimi przedstawicielami w postaci proboszczów.

Megalomania

Ale my nie o Kaziku, a o proboszczach właśnie. Nie boimy się z nimi zadzierać. Jak wszystko w Polsce, nawet nazwa „proboszcz" to pochodna megalomanii. Jak pisze Kamil Janicki w „Dziesięcinie": „Rządcę parafii najczęściej tytułowano plebanem. W tekstach łacińskich pisano też o nim parochus. Co do zasady nie miał on natomiast prawa określać się tak jak dzisiejsi księża pełniący tę samą funkcję – a więc proboszczem. To ciekawa kwestia, bo pokazuje, że duchowni ulegali nieraz tym samym pokusom co przedstawiciele świeckiej szlachty. Każdy nawet najdrobniejszy pan gruntowy, właściciel choćby jednej wioski, oczekiwał, że będzie obdarzany jak najdumniejszą tytulaturą. Następowała stopniowa inflacja godności. Wpierw wystarczało, że do szlachcica mówiono »Wielmożny Panie«, potem żądał już, by określać go »Jaśnie Wielmożnym Panem«, wreszcie był zadowolony tylko, jeśli dopowiedziano, że jest też »Jaśnie Oświecony« – choć przez długi czas w taki sposób odnoszono się tylko do magnatów, najgrubszych ryb szlacheckiego stawu". Każdy prowincjonalny klecha pożądał tytułów i zaszczytów. To im zostało do dziś. A jednak proboszcz mieszka na plebanii, a nie w proboszczówce, co jest echem plebejskiego rodowodu zarządcy wiejskiej parafii.

Wpierw trzeba się dochrapać stanowiska i z wikarego awansować na proboszcza. W archidiecezji lubelskiej powstał nowatorski sposób wyłaniania szefów parafii. Od tej pory będą wyłaniani w ramach konkursu. Gdy jakaś plebania stoi pusta, każdy (no, prawie każdy) ksiądz z diecezji może stanąć w szranki z innymi sutannowymi głodnymi awansu. Przedstawiciele kurii lubelskiej twierdzą, że ma to zwiększyć przejrzystość kościelnych procedur. Choć na końcu i tak wybiera biskup, a wierni nie mają nic do gadania. O żadnej demokratyzacji nie może być mowy. Ma to za to pomóc tym księżom, którzy pozostają niezauważeni, a wchodzą już w wiek proboszczowski i mają ambicje. Czyli zabawa we własnym gronie, tak jak księża lubią. Brakowałoby jeszcze, żeby plebs miał wpływ na wybór plebana, jak to się dzieje choćby przy wyborze pastorów. Zresztą choćby w Niemczech proboszczem rzymskokatolickiej parafii może być świecki, a nawet (o, zgrozo!) kobieta. Niemcy wychodzą z założenia że jest to funkcja administracyjna i nie potrzeba święceń do zarządzania parafią. Ale czy co dobrego wyszło z Niemiec?!

Stojące koperty

„Niedziela" wylicza kryteria, które musi spełniać chętny do wzięcia udziału w zawodach: „Aby wziąć udział w konkursie, każdy zainteresowany kapłan powinien złożyć pismo adresowane do arcybiskupa, które ma mieć charakter prezentacji kandydata i obejmować uzasadnienie ubiegania się o daną parafię, opis dotychczasowego przebiegu posługi kapłańskiej, a także propozycję programu duszpasterskiego odpowiadającego potrzebom wspólnoty parafialnej. Do pisma należy dołączyć opinię dziekana, zaświadczenie o zdanym egzaminie proboszczowskim, zaświadczenie o uregulowaniu zobowiązań finansowych wobec archidiecezji, a także dokumenty potwierdzające ukończone studia, kursy lub inne osiągnięcia, które mogą mieć znaczenie dla pełnienia urzędu proboszcza. Warunkiem koniecznym jest posiadanie przynajmniej 15-letniego doświadczenia kapłańskiego". Do obsadzenia jest w tym roku 16 placówek. Rzecznik archidiecezji ks. Adam Jaszcz zapewnia, że chętnych nie brakuje, w co nie wątpimy.

Wybór poprzez konkurs to rzeczywiście nowa jakość w stosunku do tego, co prezentują w innych diecezjach. Skądinąd wiadomo, że poza Lubelszczyzną też obowiązują konkursy, ale kryteria są nieco inne.

Mistrzem rozdzielania stanowisk był emerytowany abepe Sławoj Leszek Głódź, pan na Bobrownikach, a kiedyś metropolita gdański. Relacjonował „Fakt": „Zamiłowanie do mocnych trunków, biesiady i poniżanie współpracowników to nie są zdaniem »Gazety Wyborczej« najważniejsze problemy z arcybiskupem Sławojem Leszkiem Głodziem. Ponoć metropolita gdański każe podległym sobie księżom słono się opłacać! Najwięcej, bo od 20 do 80 tys. zł trzeba dać arcybiskupowi przy ubieganiu się o stanowisko proboszcza w dochodowej parafii. – Przede wszystkim liczy się kasa, pieniądze są główną miarą wartości kapłana. Króluje nepotyzm. Chodzi m.in. o kryteria mianowania proboszczów. Zanim nastał Głódź, wiadomo było: trzeba swoje odsłużyć, by w końcu zasłużyć. Po 20 latach stażu wikary miał dość doświadczenia, by dostać »swoją« parafię. Obecnie lepsze kąski można dostać tylko wtedy, gdy pójdzie się do arcybiskupa na rozmowę i nie zapomni wziąć ze sobą »stojącej koperty«. Dlaczego »stojącej«? Bo musi być w niej dość gruby plik stuzłotówek, by się nie przewracała na biskupim stole – opowiada gazecie jeden z gdańskich księży. Łapówki muszą dawać także ci, których arcybiskup chce przenieść z dochodowych parafii w jakieś inne miejsca".

Nie tylko Głódź tak załatwiał sprawy personalne. W innej diecezji ksiądz podpierdolił swojego biskupa (nieżyjącego już idola Radia Maryja) do CBA za uprawianie podobnego procederu. Ale funkcjonariusze nic nie zdziałali i rozeszło się po kościach, które mogą robić za relikwie. A donosiciel tuła się już poza firmą, bo kto by tolerował kapusia w swoich szeregach.

Sztukmistrze z Lublina

W porównaniu z metodą „stojącej koperty" lubelska formuła wybierania proboszczów wydaje się uczciwa, o ile oczywiście ujawniono wszystkie kryteria, które musi spełnić ksiądz. To wiedzą jednak tylko sami zainteresowani. Nie dziwota, archidiecezja lubelska to kopalnia nietypowych pomysłów. W końcu tam ma swoją siedzibę KUL, nie brak więc filozofów i marzycieli. Za rządów nieżyjącego już abepe Józefa Życińskiego – uchodzącego kiedyś za głos rozsądku w episkopacie – publikowano roczne sprawozdania finansowe. Diecezjalny ekonom wyliczał, ile forsy szło na co, a Życiński twierdził, że taka transparentność musi stać się standardem w każdej polskiej diecezji. Życiński nie żyje, jego pomysł też umarł. Nie wykroczył poza granice Lublina, a wraz ze śmiercią pomysłodawcy nikt nie ważył się do niego wracać.

Nietypowy był też poprzednik Życińskiego w Lublinie, Bolesław Pylak. Ten z kolei pasjonował się radiestezją i twierdził, że używanie wahadełka nie stoi w sprzeczności z wiarą katolicką. „Wbrew przywołanej opinii stwierdzam z całą odpowiedzialnością, że katolicy mogą korzystać z pomocy radiestetów i bioenergoterapeutów. W tym wypadku wykorzystujemy naturalne siły natury, dane przez Stwórcę dla naszego dobra, zgodnie z nakazem »czyńcie sobie ziemię poddaną«. Dlatego bronię znachorów XXI wieku…" – tłumaczył Pylak i ratowało go chyba tylko to, że się kumplował z JP2. Archidiecezji lubelskiej powinna się przyjrzeć inkwizycja. Pal licho wahadełka, ale sprawozdania finansowe do wglądu dla każdego to już ewidentna herezja, a może nawet objaw opętania.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

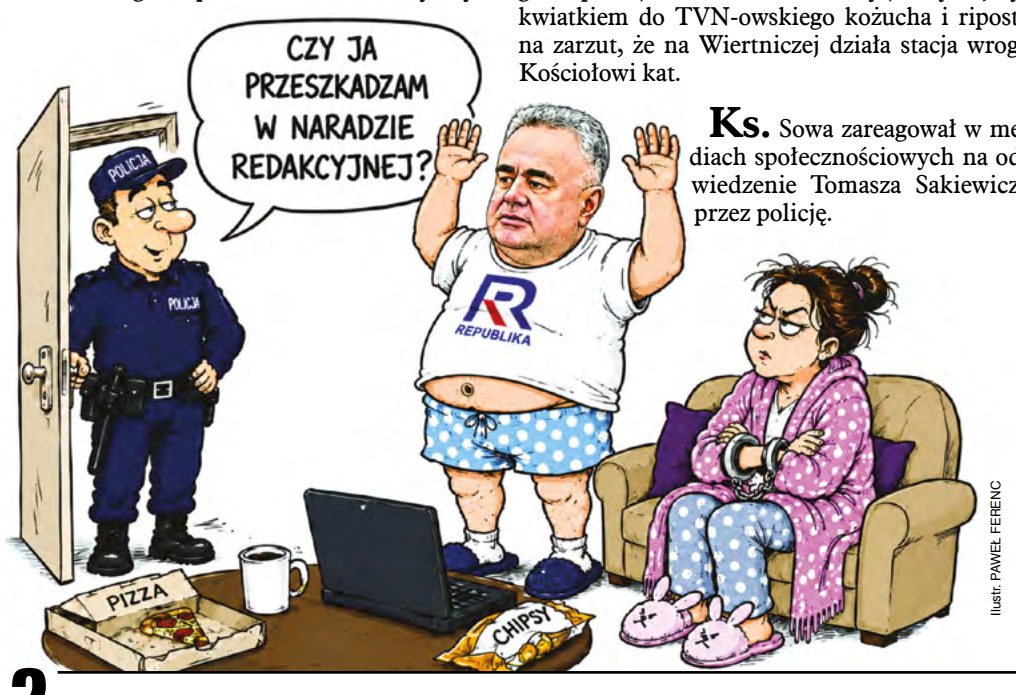
Sowa i nieprzyjaciele

Kapelan TVN-u na cenzurowanym

Dopiero pisaliśmy o nowym bohaterze prawicowych mediów z zakazem wypowiedzi („Beniaminek prawicy", „NIE", nr 20/2025), a tu kneblują kapłana z drugiej strony barykady, nie mniej rozgrzanego politycznie. Ks. Kazimierz Sowa, zawodowo i towarzysko związany z TVN, a rodzinnie z KO (jest starszym bratem Marka – posła tej formacji), dołożył szefowi konkurencyjnej Telewizji Republiki i został upomniany przez swojego szefa.

Jeżeli chodzi o rozpolitykowanych księży, to Sowa może się równać z Rydzykiem, choć nie zbudował takiego imperium. Próbował: był dyrektorem Religia.tv, stacji należącej do grupy ITI, czyli dawnego właściciela TVN, stąd twierdzenie o zawodowych związkach księdza z tą stacją. Religia.tv miała być liberalną odpowiedzią na Telewizję Trwam – serwowała lżejszy obraz katolicyzmu, strawny dla widza będącego z Kościołem na bakier. Jako dyrektor programowy wspierał go przez pewien czas Szymon Hołownia, a wiadomo, jakie szanse powodzenia mają jego inicjatywy. Takoż i Religię.tv diabli wzięli, a rząd dusz został u redemptorysty z Torunia. Kazimierz Sowa nie stracił jednak zapału publicystycznego i nadal nawiedzał TVN i TVN24, nie dając po sobie poznać, gdzie pracuje na co dzień. Ubrany jak cywil, był kwiatkiem do TVN-owskiego kożucha i ripostą na zarzut, że na Wiertniczej działa stacja wroga Kościołowi kat.

Ks. Sowa zareagował w mediach społecznościowych na odwiedzenie Tomasza Sakiewicza przez policję.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Policja wpadła do właściciela Republiki, bo dostała zgłoszenie, że w jego mieszkaniu jest osoba, która chce się zabić. Samobójcy nie było, był za to Sakiewicz z asystentką. On – w gaciach i T-shircie. Ona – w kajdankach.

Ale te kreacje się nie łączą, gdyż kobieta skuta została dopiero przez funkcjonariuszy, bo nie chciała współpracować. W każdym razie wyszło dość niezręcznie. Szef Domu Wolnego Słowa widzi w tym kolejny etap prześladowań opozycyjnych mediów. Inni – dwuznaczną sytuację. Do innych należy choćby ks. Kazimierz, który – korzystając ze swoich doświadczeń w dyrektorowaniu telewizji – dopiekł koledze.

„…to mówicie, że asystentki redaktorów, zwłaszcza naczelnych, mają obowiązek świadczenia pracy w systemie 24/7 ze szczególnym uwzględnieniem przebywania w ich, tzn. owych redaktorów, mieszkaniach prywatnych? Ciekawe, byłem red. nacz. długie lata, ale nie wiedziałem. P.S. dzięki za mema. Pasuje" – napisał, wrzucając zdjęcie pary zażerającej się popcornem na widok red. Sakiewicza. Jedni się zaśmiali, drudzy oburzyli. Wśród oburzonych wyróżnił się Dawid Wildstein, syn Bronisława, broniąc czci sakiewiczowej asystentki. „Otóż Kazimierz Sowa, jeden z tych odrażających kapłanów, którzy są jednym z najmocniejszych argumentów, że faktycznie Boga nie ma, jednak rozkręca spin wobec prywatnej kobiety, kłamiąc i manipulując, kobiety, która ma męża i rodzinę, że została właściwie wyciągnięta z łóżka Sakiewicza (…) Ja bym chciał, ale już nie umiem modlić się za kapłanów, o których wiem, że w czasie wojny kolaborowaliby albo z brunatną śmiercią, albo z czerwoną zarazą. Niestety. A i jeszcze jedno. Ma ktoś kontakt do kurii? Niech się wypowie? Czy głowa w piasek, jak zwykle?" – zapytywał, jak sądził, retorycznie.

Tymczasem kuria warszawska zareagowała i być może uda się Wildsteinowi zachować wiarę. Republika triumfalnie poinformowała: „abp Adrian Galbas uważa wspomniany wpis, umieszczony na platformie Facebook, za niedopuszczalny. Nakazał też księdzu usunięcie posta z portalu". Dodatkowo wezwał go na dywanik. Zostanie zapewne upomniany, a pryncypał nakaże mu głębszą refleksję przed publikacją posta na Fejsie.

Stacja Sakiewicza nie omieszkała odwinąć się ks. Sowie, przypominając co lepsze jego występy. „Prawie dekadę temu poznaliśmy taśmy prawdy, które zostały nagrane w restauracji (nomen omen) Sowa i Przyjaciele. Samych nagrań dokonano w 2014 r., a ujawniły one, że duchowny brał udział w zakulisowych rozmowach z czołowymi politykami PO (m.in. Pawłem Grasiem) oraz biznesmenami. Taśmy udowodniły, że doradzał politykom w kwestiach personalnych i medialnych, a także ostro wypowiadał się o przeciwnikach politycznych" – czytamy na portalu Republiki. Rzeczywiście, po publikacji słynnych taśm abepe Jędraszewski nakazał mu powrót do archidiecezji krakowskiej. Sowa załatwił sobie jednak robotę w archidiecezji warszawskiej, gdzie przygarnął go kard. Kazimierz Nycz, również kojarzony raczej z obozem dziś rządzącym.

Schedę po Nyczu przejął abepe Galbas, który utemperował księdza-celebrytę. O ile oczywiście nakazanie usunięcia wpisu na Facebooku można nazwać karą. Ale wcześniej nawet takich „represji" nie było. W razie czego ks. Kazimierz może teraz spokojnie wracać do Krakowa, gdzie z kolei rządzi jego stary znajomy Grzegorz Ryś. TVN-owi po spodziewanych zmianach taki kapelan i tak niepotrzebny, a w Krakowie rodzina i koledzy zawsze pomogą. Ryś, choć drapieżnik, zgotuje miękkie lądowanie Sowie.

MATT KOBOSKO

eprasa.pl fefc40b2c9

Abyście byli sądzeni

Wokandy sądowe z ostatnich miesięcy są zaskakująco pełne duchowieństwa

Tym, co wzbudza największą uwagę mediów w przypadku księży, są ich perypetie z własną seksualnością. Publikatory z ostatnich miesięcy nieustająco są pełne opisów takich spraw i korowodów przed sądami.

Stąd wiadomo, że ksiądz z Wielkopolski został skazany na półtora roku bezwzględnego więzienia za wykorzystanie 13-letniego ministranta. W innej sprawie, na Mazowszu, ksiądz został skazany na sześć lat za czyny wobec nieletniego, które obejmowały molestowanie, rozpijanie i prezentowanie pornografii.

Jeszcze większą skalę miała sprawa byłego księdza z Małopolski, wobec którego zapadły dwa wyroki: jeden – 12 lat więzienia, drugi – trzy i pół roku. Sąd zasądził też wysokie zadośćuczynienia. W tej historii najważniejsze są liczby – kilkunastu, a według ustaleń śledczych ponad 20 pokrzywdzonych: ministranci, lektorzy, chłopcy, którzy trafiali pod opiekę duchownego. W jeszcze innym z przypadków ksiądz z kujawsko-pomorskiego został skazany na siedem lat więzienia za gwałty na 12-letnim chłopcu.

Kręte drogi kleru

Ale przestępczość seksualna duchownych nie kończy się na pedofilii. W Dąbrowie Górniczej zapadł wyrok wobec księdza, który odpowiadał jednocześnie za przestępstwa seksualne, udzielanie narkotyków i nieudzielenie pomocy dorosłemu kochankowi. Sprawa zaczęła się od interwencji pogotowia w mieszkaniu parafialnym, gdzie jeden z uczestników homoseksualnej orgietki stracił przytomność. Wyrok półtora roku więzienia był próbą zamknięcia tej historii w ramy prawa.

W Polsce przyjęło się, że jeśli ksiądz trafia przed sąd, to niemal na pewno chodzi o sprawę seksualną. Ten schemat jest prosty, medialnie nośny i daje poczucie, że księżą przestępczość da się zamknąć w jednej kategorii. Rzeczywistość jednak nie ma obowiązku być wygodna. I gdy zajrzeć w konkretne sprawy z ostatnich lat, w wyroki, uzasadnienia, akta i relacje świadków, zaczyna się wyłaniać obraz znacznie bardziej złożony. Bo obok dramatów związanych z wykorzystaniem nieletnich pojawiają się historie o alkoholu, pieniądzach, ignorowaniu zakazów, manipulacji i zwykłej ludzkiej chciwości. Okazuje się, że przestępczość pasterzy nie jest jednowymiarowa. Jest dokładnie taka jak ich owieczek.

Jeśli ktoś chciałby zobaczyć, jak bardzo rzeczywistość potrafi odbiegać od wyobrażeń o zawodzie duchownego, nie musi sięgać po wielkie afery ani głośne raporty. Wystarczy otworzyć akta kilku spraw z ostatnich lat.

Bo tam, gdzie kończy się zakrystia, zaczyna się bardzo zwyczajny świat przepisów, promili, przelewów i paragrafów. A w tym świecie księża okazują się zaskakująco podobni do reszty społeczeństwa.

Z Panem Bogiem i promilami

Przypadek ks. Ireneusza z Białej Piskiej zaczyna się jak wielu innych wypadków drogowych – niemal trzy promile alkoholu we krwi. To stan, w którym percepcja rzeczywistości zaczyna się rozmywać, a reakcje przestają nadążać za tym, co dzieje się na drodze. Samochód prowadzony przez duchownego zjechał na przeciwny pas i uderzył w auto, którym jechała rodzina z dziećmi. Jedna z dziewczynek doznała obrażeń, które wymagały interwencji medycznej i leczenia.

W aktach sprawy pojawia się moment szczególny – po wypadku ksiądz próbował się oddalić. To detal, który w sądzie zawsze waży więcej niż same promile. Sąd skazał go na rok więzienia, orzekł wieloletni zakaz prowadzenia pojazdów i obowiązek wypłaty nawiązek. W uzasadnieniu była chłodna analiza faktów – stan nietrzeźwości, ucieczka z miejsca zdarzenia, konsekwencje dla poszkodowanych.

Jeszcze bardziej symboliczny charakter ma sprawa ks. Pawła, duszpasterza trzeźwości we Włocławku. Ponad 2,6 promila alkoholu, utrata kontroli nad pojazdem, dachowanie. To ciąg decyzji, które prowadzą do tego, że samochód wypada z drogi, zdarzenie trafia do służb, a potem do sądu. Wyrok – grzywna 1500 zł i czteroletni zakaz prowadzenia – jest o niebo łagodniejszy niż w poprzednim przypadku, ale ciężar tej historii leży w zestawieniu słów i czynów.

Najbardziej dramatyczny przebieg miała sprawa ks. Mirosława T. z Mazowsza. Tam nie było tylko alkoholu i utraty kontroli. Było potrącenie 16-letniej dziewczyny, której ksiądz nie udzielił pomocy. Uciekł z miejsca zdarzenia. Sąd nie miał wątpliwości. Wyrok czterech lat i dwóch miesięcy bezwzględnej odsiadki.

Na tym tle sprawa ks. Tomasza z Rzejowic to pikuś. Nie było wypadku ani ofiar. Był sądowy zakaz prowadzenia pojazdów i decyzja klechy, by ten zakaz zignorować. Policja zatrzymuje kierowcę, sprawdza dane, okazuje się, że nie powinien siedzieć za kierownicą. W aktach pojawiają się wcześniejsze incydenty drogowe, które doprowadziły do wydania zakazu. Wyrok – 10 tys. zł. grzywny – jest w takich sprawach standardowy nawet dla nienoszących koloratki. Aha, nad klechą wisi też zarzut o molestowanie 15-letniej parafianki.

W przypadku księdza z Choroszczy nie ma pościgów, nie ma dramatycznych ujęć z drona, na których samochód ucieka przez pola Podlasia. Jest za to coś znacznie bardziej swojskiego. Stacja paliw w Choroszczy, zwykły zimowy dzień i ksiądz, który przyjeżdża zatankować samochód, robi zakupy, płaci za to, co ma w rękach, a o paliwie zapomina na tyle skutecznie, że odjeżdża. Pracownicy stacji sięgają po monitoring i po okazaniu filmu policji kierowcą okazuje się 40-letni duchowny. W tym momencie zaczyna się sprawa karna. Nie dlatego, że gość nie zapłacił za paliwo, lecz z powodu tego, że usiadł za kierownicą mimo dwukrotnego sądowego zakazu prowadzenia pojazdów mechanicznych. Pierwszy wyrok dotyczył prowadzenia pojazdu w stanie nietrzeźwości. Drugi wyrok był już za niestosowanie się do sądowego zakazu prowadzenia pojazdów. Duchowny przyznał się do zarzutów. Może dlatego, że w tym wypadku zagrożenie karą nawet dla recydywisty w koloratce jest nieszczególne, bo zaczyna się od trzech miesięcy za kratkami.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Przytulić (kasę) wiernych

Jeśli jezdnia jest przestrzenią, gdzie błędy widać natychmiast, to finanse są miejscem, gdzie wszystko dzieje się wolniej. W sprawie ks. Włodzimierza z Dolnego Śląska kluczowe były liczby i przepływy. Ponad 1,2 mln zł dotacji publicznych przeznaczonych na remont zabytkowych obiektów sakralnych. Pieniądze, które miały trafić na konserwację, prace budowlane, zabezpieczenie dziedzictwa. W aktach pojawiają się jednak inne kierunki – inwestycje w kryptowaluty i wypłaty, które nie miały związku z celem dotacji. Sąd ostatecznie zakwalifikował działania duchownego jako przestępstwo o charakterze gospodarczym i skazał go na rok i dwa miesiące więzienia. Parafia została z długiem i remontem, który nie został dokończony.

Podobny, choć mniejszy w skali, był przypadek ks. Stanisława z Podkarpacia. Została przywłaszczona kwota 434 tys. zł z konta parafii. Wyrok w zawieszeniu oznacza, że sąd uznał możliwość poprawy, co nie zmienia faktu, że księżulo kasę zajumał.

Jeszcze ciekawsze są sprawy, w których pojedynczy duchowny przestaje być centralną postacią, a staje się elementem większego mechanizmu. W aferze „darowizn podatkowych" z okolic Płocka chodziło o fikcyjne potwierdzanie przez duchownego darowizn na cel religijny, które pozwalały zamożnym osobom unikać opodatkowania. Schemat był prosty – dokument, podpis, potwierdzenie wpłaty, która nie miała miejsca albo była inna niż deklarowana. Straty dla państwa oszacowano na około 4,5 mln zł.

Na końcu pozostaje sprawa, która z pozoru wydaje się najmniej poważna, choć znamienna. Były ksiądz Michał W. został prawomocnie skazany na grzywnę za publiczne znieważanie najwyższych organów państwa podczas kazań. W Baranowie pod Poznaniem podczas mszy publicznie obsobaczył ówczesnego prezydenta Dudę, premiera Tuska i marszałka sejmu Hołownię. W tej sprawie nie było przemocy fizycznej ani pieniędzy. Były słowa – wycenione przez sąd na dwa miesiące pudła w trzyletnich zawiasach – które każdy klecha powinien znać: nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni. A skoro ks. Michał sądził źle o politykach, to ma za swoje.

TOMASZ BOROWIECKI

Kielno – epilog

Sprawa krzyża w śmietniku – do śmietnika

Wiele hałasu o nic. Postępowanie w sprawie nauczycielki z Kielna, która wyrzuciła do śmietnika plastikowy krzyż, zostało umorzone. Rzecznik dyscyplinarny nie dopatrzył się zbrodni w zachowaniu nauczycielki. Postanowienie nie jest wprawdzie prawomocne, ale zażalenie musiałaby złożyć sama zainteresowana lub rzecznik praw dziecka, na co się nie zanosi. „Postępowanie wyjaśniające prowadzone przez Rzecznika Dyscyplinarnego dla Nauczycieli przy Wojewodzie Pomorskim w sprawie nauczyciela Szkoły Podstawowej z Oddziałami Integracyjnymi im. Bohaterów Westerplatte w Kielnie zostało zakończone wydaniem postanowienia o umorzeniu postępowania wyjaśniającego. Wyniki prowadzonego postępowania zostały zatwierdzone przez Wojewodę Pomorskiego" – przekazano PAP. Oświadczenie to nie jest równie chętnie kolportowane jak historia o bluźnierstwie w szkole.

Równocześnie poformowano, że Prokuratura Okręgowa w Gdańsku póki co nie postawiła nikomu zarzutów, choć wójt gminy, na terenie której znajduje się szkoła, zawiadomił o obrazie uczuć religijnych. Ale co się niektórzy nakrzyczeli, to ich. Kapitał polityczny zbijany kosztem nagonki na Bogu ducha winne osoby stał się w pewnych kręgach normą. Płaczą dopiero, gdy sami padną ofiarą hejtu czy ktoś zrobi o nich nośne memy. Dopóki można się upaść na cudzej krzywdzie, to nie ma problemu.

Opisywana rzecz miała miejsce w grudniu 2025 r. Zanim cokolwiek zostało wyjaśnione, zrobiono z tego incydentu zamach na wiarę i polskość, a tabuny tumanów biegły pod szkołę, żeby wyrazić oburzenie. Z nauczycielki zrobiono niemalże antychrysta, który polską dziatwę sprowadza na manowce antyklerykalizmu, a z gówniarzy nowe „dzieci wrzesińskie", które opierają się przymusowej ateizacji. Wyrazy oburzenia na belferkę i słowa solidarności z młodzieżą płynęły z każdego miejsca, gdzie rozum klęka przed zabobonem. W awanturę dała się wplątać nawet Barbara Nowacka, która – aby nie podpadać i tak ciętym na nią prawicowcom – nazwała postępowanie nauczycielki błędem, który nie powinien mieć miejsca, „bo bez względu na to, w co kto wierzy, każdy ma prawo do poszanowania godności swojej wiary". Zasada nawet niegłupia, tyle że nijak nieprzystająca do wydarzeń kielniańskich.

A jak było naprawdę? Opisywała to „Dziennikowi Bałtyckiemu" anglistka oskarżana o obrazę uczuć i sianie zgorszenia. – Wyrzuciłam cosplayowy gadżet od halloweenowego stroju, którym bawiły się dzieci, a następnie powiesiły go nad klatką chomika – w miejscu, w którym wcześniej wisiał zegar (…) Nie sądzę, a wręcz wydaje mi się to niemożliwe, by ktokolwiek z moich uczniów poczuł się urażony ze względu na wyrzucenie go do kosza.

Ale zanim jej wersja weszła do medialnego obiegu, zdążyła się rozpętać ogólnopolska afera na miarę tej o krzyż smoleński na Krakowskim Przedmieściu.

Ulica wydała wyrok: nauczycielka jest winna. W nagonce prym wiedli pisowcy, którzy zwęszyli łatwy żer i polityczne złoto.

Bez szczegółów ze strony nauczycielki sprawa naprawdę wyglądała tak, jakby oszalała z nienawiści do Kościoła ateistka wpadła w bezbożny amok i na widok krzyża miała pianę w pysku. Z każdą minutą ten głuchy telefon przyprawiał opowieść o nowe, szokujące szczegóły, stąd reakcja nawet na szczeblach ministerialnych. Nauczycielkę najchętniej widziano już na taczkach wiozących wprost do więzienia o zaostrzonym rygorze, prawica odczytywała w tym wdrażanie programu „opiłowywania katolików" zapowiedzianego przez Sławomira Nitrasa. Słowem: atmosfera pogromu. Nauczycielka zaś wspomina, że wylała się na nią „fala hejtu, mowy nienawiści rozpowszechnianej w mediach bez sprawdzenia faktów, bez żadnej weryfikacji, bez czekania na jakiekolwiek wyjaśnienie tej sytuacji". Dzień jak co dzień w Polsce.



Rys. WIDGET

Nie należy się spodziewać, że teraz spadnie na tę kobietę fala przeprosin, co to, to nie. Afera już zwietrzała, a każdy dzień przynosi tyle nowego kontentu, że trudno nadążyć. Sprawa sprzed pół roku jest równie aktualna jak bitwa pod Grunwaldem. A przecież są tacy, co z szukania powodów oburzenia zrobili sobie sposób na życie i nie dadzą odetchnąć swoim fanom. Ot, choćby taki Robert Bąkiewicz. Był w Kielnie, gdy trzeba było gnoić nauczycielkę. Ale życie gna dalej, a ten nieustraszony obrońca granic nie ma czasu, by rozpamiętywać archiwalne skandale. Aktualnie baruje się w sądzie z Andżeliką Domańską, aktywistką Strajku Kobiet, która zarzuca mu naruszenie nietykalności cielesnej. Miał ją nasz bohater zepchnąć ze schodów kościoła w czasie akcji pod świątyniami. Bąkiewicza na sprawie najbardziej zafrapował laptop pełnomocniczki Domańskiej. Pani mecenas ma na nim przyklejoną m.in. tęczową Maryjkę, co przywódca Ruchu Obrony Granic skwitował ostrym: „Profanacja Matki Boskiej w trakcie mojej sprawy". Krzyż w Kielnie już nieaktualny, Bąkiewicz ma pilniejsze zadania. Jedno jest pewne: zawsze znajdzie się tam, gdzie można dopiec kobietom. Poza Maryją oczywiście.

ŁP

eprasa.pl fefc40b2c9

Imperium z dykty i różańca

Kosztowny interes złego menadżera

Dziennikarze od dawna stoją przed wyborem między zdrowym rozsądkiem a tym, co ludzie chcą oglądać, czytać i klikać. Wybór trudny. Rzeczywistość rzadko bywa tak dramatyczna, jak oczekuje tego odbiorca. Gdyby świat wyglądał jak ten z medialnych relacji, większość obywateli ginęłaby codziennie w katastrofach samochodowych, mordowała sąsiadów przy okazji rodzinnych grilli, a państwo rozpadałoby się trzy razy dziennie pomiędzy kolejnymi aferami stulecia. Tymczasem większość życia społecznego polega na tym, że ktoś spokojnie robi herbatę, jedzie autobusem do pracy i nic szczególnego się nie wydarza.

Problem polega jednak też na tym, że media karmią media. Dziennikarstwo fotelowe stało się standardem. Piszemy o czymś, o czym dowiedzieliśmy się z innych mediów, które z kolei przepisały to od jeszcze innych mediów. W rezultacie powstaje zamknięty obieg emocji, lęków i sensacji.

Lament nad pustą kasą

Tym razem zatem spróbujemy podejść do sprawy zdroworozsądkowo. „Imperium" ojca Rydzyka po raz kolejny tonie. Po raz kolejny potrzebuje pieniędzy. „Satelita nad Ameryką ma kosztować kolejne 2 mln zł. Przesył naziemny w Polsce aż 7 mln 904 tys. 769 zł. Koszty koncesji dla Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji wynoszą prawie milion złotych. Opłaty dla Urzędu Komunikacji Elektronicznej sięgają 1 mln 70 tys. 470 zł, a »ubezpieczenie telewizyjne« pochłania następne 1 mln 617 tys. 878 zł, a ja nie mam pieniędzy" – rzekł był Tadeusz Rydzyk, o czym dowiedzieli się ostatnio widzowie Telewizji Trwam. Ale nie tylko oni. O rydzykowym dramacie informowały „Puls Biznesu", Wirtualna Polska, Onet, Money.pl, „Fakt", „Newsweek", Plejada i O2. Mówiono o nim w RMF FM i Polskim Radiu 24. Zapewne także w Telewizji Republika, choć tu bardziej opieram się na metafizycznym przeczuciu niż na twardej wiedzy. Można mieć zatem wrażenie, że mamy do czynienia z jakąś toruńską katastrofą. Zatem pojawia się pytanie: co to właściwie za imperium, skoro od 30 lat tonie niemal co kwartał?

Amber Gold w sutannie

Swego czasu, gdy Rydzyk był już figurą medialno-polityczną, a po kraju krążyły historie o Maybachu – zresztą w znacznej mierze mitologiczne – wyobrażałem sobie, że mamy do czynienia z toruńskim konglomeratem medialnym klasy CNN. Pojechałem zatem do Torunia obejrzeć z bliska. Doznałem olśnienia. To „imperium" wygląda mniej więcej tak jak w latach 90. większe szkoły podstawowe w miastach powiatowych. Szumnie nazwana Akademia Kultury Społecznej i Medialnej przypomina raczej rozbudowany zespół szkolny wybudowany metodą gospodarczą na odległych peryferiach, gdzie grunty były tanie. Do tej „sorbony Ojca Dyrektora" uczęszcza raptem 2–3 tys. studentów. Tymczasem przeciętny uniwersytet wojewódzki liczy często po 10–20 tys. studiujących, a największe uczelnie – po kilkadziesiąt tysięcy. To nie jest katolicki Harvard.

Podobnie wygląda sprawa z Telewizją Trwam i Radiem Maryja. Podświadomie imaginujemy sobie coś jak kompleks TVP przy Woronicza. Tymczasem całość mieści się w obiektach przypominających bardziej dom pielgrzymkowy.

Teraz wystarczy obejrzeć jeden czy drugi program Telewizji Trwam albo – dla pełnego doświadczenia – zostawić ją włączoną na cały dzień. Przecież to jest produkcja robiona absolutnie najtańszym kosztem. Dwie gadające głowy siedzą przy stole przykrytym obrusem pamiętającym pontyfikat Jana Pawła II, po czym całość zostaje przerwana reklamą sienników z owsa, cudownych mat na kręgosłup albo preparatu ziołowego.

Między tym wszystkim emitowane są jakieś pozagatunkowe filmy quasichrześcijańskie, wyglądające, jakby powstały w wyniku koprodukcji parafii, domu kultury i lokalnego koła rekonstrukcji duchowej. Do tego transmisje mszy, pielgrzymek i nabożeństw realizowane technicznie w sposób, który współczesny nastolatek ogarnąłby smartfonem podczas komunii kuzyna. Kamera stoi nieruchomo, ksiądz mówi, wierni siedzą, a realizacja przypomina monitoring z poczekalni PKS-u w Radomsku.

Reszta ramówki to niekończące się powtórki oraz informacje wyczytywane z portalu episkopatu Polski: że dziś wspominamy św. Bonifacego, że biskup odprawił mszę za Polaków ratujących Żydów podczas wojny albo że odbyło się sympozjum poświęcone rodzinie jako podstawowej komórce narodu i kosmosu.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Oczywiście to medium przez lata ewoluowało. Dokupiono trochę sprzętu, poprawiono grafikę. Pojawiły się nowocześniejsze belki i bardziej cyfrowe przejścia między planszami. Ale w gruncie rzeczy nadal czuć tam słomę z butów. Nadal jest to transmisja telewizji osiedlowej finansowanej ze składek działkowców. To nie jest katolicki Netflix.

Potęga mierzona w promilach

Przejdźmy do faktów ciekawszych niż publicystyczna legenda o potężnym imperium medialnym. Oglądalność Telewizji Trwam stanowi 0,42 proc. udziału w rynku, co przekłada się na mniej więcej 24,7 tys. widzów średniej minutowej[1]. Dla porównania: odsłona gołej dupy na Pornhubie potrafi mieć kilka albo kilkanaście milionów wyświetleń, zanim Ojciec Dyrektor skończy odmieniać „cywilizację śmierci" przez wszystkie przypadki.

Nawet jeśli porównamy TV Trwam z tą prowincjonalno-rewolucyjną Telewizją Republika, różnica jest brutalna. Republika osiąga ponad 300 tys. średniej widowni minutowej, czyli ponad 10 razy więcej. Słuchalność Radia Maryja? Dajcie spokój. To nie jest masowa machina wpływu w rodzaju RMF FM czy Radia Zet.

Spójrzmy teraz na to „imperium" przez pryzmat twardych danych ze sprawozdań finansowych. Majątek środowiska Rydzyka wyceniany jest na około 178 mln zł, a zatrudnienie w całym tym organizmie oscyluje w granicach 100–120 osób. Na miłość boską, przecież to jest potencjał ekonomiczny większej mleczarni albo dobrze prosperującej fabryki okien, a nie żaden watykański Goldman Sachs.

Ekosystem Ojca Dyrektora dostał od państwa około 380 mln zł w ciągu ośmiu lat rządów PiS. Wychodzi circa 47 mln rocznie. Oczywiście dla przeciętnego emeryta są to kwoty z pogranicza napadu na NBP. Ale bądźmy poważni. Po przeliczeniu wszystkiego okazuje się, że mamy do czynienia nie z imperium medialnym, lecz raczej z gminą Kańczuga wyposażoną we własny radiowęzeł i telewizję zakładową, w której funkcję wójta pełni niezwykle energiczny księżulo z Olkusza.

Wielkie nic w obiektywie szerokokątnym

Taka jest prawda. To, co wiedzieliście do tej pory, było w dużej mierze zbiorowym złudzeniem produkowanym przez media, politykę i ludzką skłonność do nadawania rzeczom prowincjonalnym wymiaru metafizycznego. Tak działa mechanizm informacji: pokazuje się rzeczy małe bez kontekstu, odpowiednio je kadruje, powtarza z ust do ust i po pewnym czasie zaczynają wyglądać jak gigantyczne.

Imperium Rydzyka wyrosło z tego samego rodzaju iluzji co legenda detektywa Rutkowskiego. Przez lata przeciętny Polak miał wrażenie, że Rutkowski dysponuje co najmniej ośmioma komendami wojewódzkimi, sztabem byłych komandosów, batalionem wozów pościgowych i własnym satelitą szpiegowskim nad Łodzią. Tymczasem komend nie było żadnych, a radiowóz był jeden. Resztę dopowiadały wyobraźnia, telewizja i charakterystyczny ton mówienia człowieka w ciemnych okularach.

Z Rydzykiem stało się podobnie. Wystarczyło przez 30 lat powtarzać: „imperium medialne", „potężne wpływy", „toruński Watykan", „największa siła polskiego Kościoła", a ludzie zaczęli wyobrażać sobie coś pomiędzy CNN, Pentagonem i bankiem watykańskim. Po zdjęciu całej retorycznej piany zostaje małe żółtko.

Ewangelia dla nienawistników

To oczywiście nie znaczy, że przedsięwzięcie Rydzyka było nieważne. Wręcz przeciwnie. Ono jest fascynujące właśnie dlatego, że z niewielkich środków udało się wyprodukować wrażenie ogromnej potęgi. Jak do tego doszło?

Rydzyk zaproponował Polakom religię znacznie wygodniejszą od klasycznego chrześcijaństwa. Ewangelia w gruncie rzeczy niesie treści bardzo niewygodne. Każe kochać obcych, przebaczać wrogom, nie przywiązywać się do pieniędzy, podejrzewać własną pychę i jeszcze nadstawiać drugi policzek. Człowiek czyta to wszystko i zaczyna rozumieć, dlaczego chrześcijaństwo nigdy nie stało się szczególnie popularne nawet wśród samych chrześcijan. Rydzyk zrobił coś odwrotnego. Stworzył religię twierdzy.

Bóg w toruńskiej wersji nie jest łagodnym włóczęgą z Ewangelii, który siada z celnikami i prostytutkami, tylko strażnikiem oblężonego narodu. Jest podejrzliwy wobec nowoczesności, śmiertelnie poważny, konserwatywny, polityczny i nieustannie zaniepokojony.

Świat wokół jest pełen wrogów, spisków, demoralizacji i zagrożeń, więc wierny dostaje coś, co psychologicznie działa znacznie lepiej niż klasyczna Ewangelia: poczucie przynależności do ostatniego bastionu normalności.

Przeciętny człowiek nie chce religii, która każe mu walczyć z własną małością. On chce religii, która powie mu, że jest dobry, bo należy do właściwego plemienia. Że świat go atakuje, ponieważ stoi po stronie prawdy. Że jego lęki są uzasadnione, jego gniew moralnie słuszny, a jego uprzedzenia patriotyczne. Rydzyk dał ludziom katolicyzm, który nie rozbraja lęku, tylko go organizuje i nadaje mu sens. Dodajmy, że nawet sam episkopat Polski patrzy na to z ojcowskim politowaniem.

Bilet do piekła

Jaki z tego wniosek? Otóż ja się na soteriologii[2] specjalnie nie znam, ale na tyle, na ile ją rozumiem, powiedziałbym tej jednak dość mało licznej sekcie wyznawców Rydzyka: nie zostaniecie zbawieni! Po prostu piekło! To jest antychryst! Podążacie za fałszywym prorokiem! Więcej. Na ekonomii znam się trochę lepiej i mogę powiedzieć jedno: przy efektach, jakie Rydzyk uzyskuje, i nakładach, jakie ponosi, to jest po prostu zły menadżer. Człowiek, który przez 30 lat przepala forsę na rzeczy niepotrzebne jak satelita nad USA. Więc jeśli istnieje jeszcze jakiś cień szansy, żebyście nie poszli do piekła, to po prostu przestańcie dawać. Niech ten szatan utonie pod ciężarem kosztów „ubezpieczenia telewizyjnego" i „przesyłu naziemnego".

Zauważcie też, że w tej całej litanii wydatków recytowanej przez Rydzyka nie ma właściwie ani słowa o miłości bliźniego. Byłoby, gdyby powiedział na przykład: „potrzebuję pieniędzy na ludzi, którzy pracują w TV Trwam i chcą godnie zarobić na chleb".

ROBERT JARUGA

1. Według ostatnich danych Nielsen Audience Measurement.
2. Soteriologia – w żargonie kościelnym: dział teologii dogmatycznej zajmujący się zbawieniem duszy.

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Decyzją rzecznika dyscyplinarnego przy wojewodzie pomorskim postępowanie dyscyplinarne wobec nauczycielki z Kielna, oskarżonej o zdjęcie krzyża z sali lekcyjnej i wyrzucenie go do kosza, zostało umorzone. Przypomnijmy: sprawa dotyczy incydentu z grudnia 2025 r. Na anglistkę przypuszczono nagonkę w mediach, zanim ktokolwiek wysłuchał jej stanowiska. Okazało się, że nauczycielka zdjęła plastikowy gadżet, którym bawili się uczniowie, a nie symbol religijny. Lipny krucyfiks, który wyrzuciła, był częścią przebrania na Halloween. Nauczycielka wróciła do pracy, lecz dalej trwa postępowanie karne. Prowadzi je Komenda Powiatowa Policji w Wejherowie pod nadzorem tamtejszej prokuratury. W marcu okres trwania dochodzenia przedłużono na kolejne dwa miesiące. W sprawie przesłuchano świadków, a po wykonaniu czynności procesowych i analizie zebranego materiału dowodowego prokurator miał rozważyć konieczność powołania biegłego z zakresu religioznawstwa. Wszystko to z naszych podatków…

✚ Strażacy z Ochotniczej Straży Pożarnej Majdan Górny (gm. Tomaszów Lubelski) opublikowali zdjęcia z akcji dogaszania wielkiego pożaru Puszczy Solskiej. Jedno z nich stało się internetowym viralem. Widnieje na nim sosna z kapliczką z wizerunkiem Matki Bożej, opasana cienkimi wstążeczkami w barwach narodowych. Ogień nie tknął ani drzewa, ani kapliczki, ani wstążek. Strażacy uważają, iż wydarzyło się coś niezwykłego. Faktycznie niezwykłe, że miłościwy Bóg sfajczył 1157 hektarów lasu, ale postanowił ocalić zbitą z trzech klepek kapliczkę.

✚ W Bielsku-Białej trwa spór o działki przy cmentarzu w Mikuszowicach, sprzedane przez Polską Prowincję Salwatorianów. Gmina pozyskała teren w latach 90. od MON. Niedługo później decyzją radnych kilka hektarów ziemi za symboliczną kwotę przekazano na cele parafii w Mikuszowicach. Intencją było utworzenie cmentarza parafialnego i jego późniejsze powiększenie. W styczniu br. Polska Prowincja Salwatorianów opyliła grunt lokalnemu przedsiębiorcy – według nieoficjalnych informacji za ok. 1,9 mln zł. Proboszcz parafii NMP Królowej Świata w Cygańskim Lesie miał przekazać wiernym, że o sprzedaży terenu wokół cmentarza dowiedział się post factum, a decyzje zapadały w centrali zakonu w Krakowie. Zakon utrzymuje, że prowadził rozmowy z miastem w sprawie odkupu lub zamiany gruntu. Ratusz był zainteresowany propozycją, ale negocjacje nie przyniosły porozumienia co do warunków finansowych. Kler w biznesie się nie pieści, idzie po trupach do celu.

✚ W dniach 29–30 maja na Zamku Królewskim w Niepołomicach odbędzie się konferencja z cyklu „Wiara i nauka". Jej tegoroczne hasło brzmi „Naga małpa – czy cudowne stworzenie?". Jednym z wykładowców będzie o. Michał Chaberek, który udzielił ostatnio wywiadu serwisowi Pch24.pl. – Pochodzenie człowieka od małpy to nie jest twierdzenie naukowe. To teoria czy spekulacja, którą biologowie zbudowali na bazie jakiegoś materiału empirycznego, który równie dobrze można zinterpretować w kategoriach klasycznych, czyli osobnego stworzenia małp i człowieka. (…) Kiedy idziemy do zoo, to my jesteśmy po jednej stronie krat, a małpy po drugiej. To powinno dać każdemu do myślenia, dlaczego tak jest – mówił dominikanin, doktor teologii fundamentalnej. Nie wiemy, od kogo pochodzą księża, ale głosimy teorię, że powinni trafić na Księżyc.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Rys. OBYWATEL JANEK



eprasa.pl fefc40b2c9

Książęta sportu

Lewandowski pożegnał się z Barceloną, a Piesiewicz – mam nadzieję – pożegna się z komitetem olimpijskim.

Być może powinienem zacząć od tego, że Robert Lewandowski pożegnał się z kibicami FC Barcelona. W samochodzie słucham radia nadającego rockową muzykę. Informację o pożegnaniu polskiego napastnika z katalońskim klubem uznano tam za tak ważną, że wepchnięto ją między przeboje Aerosmith i Lady Pank. Mogę więc założyć z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością, że dotarła też do naszych Czytelników. Nie będę wszystkiego powtarzać.

Lewandowska za kółkiem

Nie jest jasne, dokąd trafi Robert Lewandowski. Najwięcej się mówi, że w swoim klubie piłkarskim chciałby mieć go książę Al-Walid ibn Talal ibn Abd al-Azis Al Su'ud, wnuk króla Arabii Saudyjskiej i najbogatszy człowiek w Zatoce Perskiej, właściciel najlepszej drużyny Arabii Saudyjskiej Al-Hilal. To dość ekscentryczna postać. Multimiliarder, który rodzinny majątek pomnożył dzięki udanym transakcjom finansowym. Kupował akcje solidnych firm, które przeżywały trudności, a które później gwałtownie wzrastały na giełdzie. Dzięki temu uzyskał przydomek księcia upadłych aniołów. Miejmy nadzieję, że Roberta Lewandowskiego nie traktuje jak upadłego anioła, choć nie da się oszukać metryki – napastnik ma 38 lat. Oczywiście to nie decyduje o wszystkim. W Arabii Saudyjskiej spotka się z zawodnikiem klubu Al-Nassr Portugalczykiem Cristiano Ronaldo, który liczy sobie 41 wiosen i wciąż jest w znakomitej formie. W zespole Al-Hilal, jeśli oczywiście tam trafi, spotka natomiast swojego rówieśnika (nawet kilka miesięcy starszego) Francuza Karima Benzemę. Najwidoczniej pustynny klimat i deszcz petrodolarów dobrze wpływają na długowieczność.

Książę Al-Walid ma ponoć do zaproponowania polskiemu piłkarzowi blisko 90 mln euro za sezon, co nawet zważywszy, że część sumy pochłoną podatki i prowizje dla agentów, jest nie do pogardzenia.

Jeszcze ciekawostka o Lewandowskich, która mogła umknąć Czytelnikom. Anna Lewandowska będzie mogła w Arabii Saudyjskiej siadać za kierownicą samochodu. Do 2018 r. Arabia Saudyjska była jedynym krajem na świecie, w którym kobiety nie mogły prowadzić samochodów. Książę Al-Walid chce uchodzić za postępowego arystokratę i wraz z ówczesną żoną wpłynęli na zmianę przepisów. Obecnie w rządzonym przez talibów Afganistanie kobiety nie mogą uzyskać prawa jazdy, ale te, które miały je wcześniej, nadal mogą siadać za kółkiem. Anna Lewandowska mogłaby zatem poruszać się po Kabulu autem, ale wątpię, czy jej mąż ma zamiar przenosić się do klubu w tym kraju.

Zarobić na Piesiewiczu

Zostawiamy w spokoju pana Roberta i księcia Al-Walida. Zajmiemy się człowiekiem, który ma się za księcia, a nawet króla, ale nim nie jest. Już dość dawno nie pisałem o Radosławie Piesiewiczu, paskudnej postaci, która zajmuje jeszcze – mam nadzieje, że do połowy czerwca – zaszczytną funkcję prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego.

Właściwie to powinienem być Piesiewiczowi wdzięczny. Napisałem o nim kilka albo nawet kilkanaście tekstów (nie tylko do „NIE"), a ponieważ nie pisuję za darmo, coś tam na tej osobie zarobiłem. Wpadł mi w oko już wtedy, gdy zajmował się marketingiem w Polskim Związku Piłki Siatkowej. Jako prawnik z wykształcenia zorientował się natychmiast, że w sporcie są do wzięcia duże pieniądze i w celu ich zarobienia wcale nie trzeba wylewać potu na treningach. Piesiewicz doprowadził do perfekcji – obecny zresztą w wielu klubach i różnych dyscyplinach – system pobierania prowizji od reklamodawców i sponsorów. Jest to zresztą działanie całkiem legalne. Podobnie jak wnuk króla Arabii Saudyjskiej nazywany jest księciem upadłych aniołów, naszego prezesa ochrzcić można mianem księcia sportowych prowizji.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Piesiewiczowi sprawiało coraz większą przyjemność zajmowanie wysokich stanowisk. Gdy stanął na czele Polskiego Związku Koszykówki (2018 r.) wszyscy tytułowali go prezesem, kłaniali się w pas, jeśli mieli coś do załatwienia, i nasz bohater coraz bardziej nabierał przekonania, że jest kimś wyjątkowym. A gdy zaprzyjaźnił się z Jackiem Sasinem, późniejszym wicepremierem w rządzie PiS, i pożyczył mu pieniądze na kampanię wyborczą, przez co zyskał jego wdzięczność, mógł sobie pogratulować: „Radek, Bóg jeden raczy wiedzieć, jak wysoko zajdziesz!".

Silny człowiek

Już jako włodarz koszykówki Radosław Piesiewicz podpadł nie tylko mnie. Czuł się jak jedynowładca, respekt czuł tylko wobec osób wyżej postawionych w hierarchii. Resztą gardził.

Rok 2019 był wyjątkowy dla polskiej koszykówki. Reprezentacja dotarła do ćwierćfinału mistrzostw świata. Dość niespodziewanie wybrana została drużyną roku w plebiscycie „Przeglądu Sportowego". Radosław Piesiewicz z dumą (akurat w tym momencie miał do tego prawo) podszedł do mikrofonu, wygłosił jakieś formułki, po czym z imienia i nazwiska pogratulował zawodnikom. Ale nie wszystkim. Zapomniał o kapitanie i najlepszym koszykarzu Adamie Waczyńskim, którego w ogóle nie zaproszono na uroczystość. Później Waczyńskiego skreślono z listy reprezentantów. To był sygnał dla wszystkich: kto stanie na drodze pana Piesiewicza, ten polegnie, a rzucający obrońca miał zawsze swoje zdanie.

„Waca" mógł mieć to gdzieś. Do zakończenia kariery (2024 r.) grał w silnych europejskich klubach, zarabiał godziwe pieniądze i mógł tylko patrzeć, jak Piesiewicz wdał się w kolejny konflikt, i to z nie byle kim. Czuł się już tak mocny, że wszedł w drogę Marcinowi Gortatowi, jedynemu Polakowi, który doszedł do finału rozgrywek NBA, zarobił tam furę kasy, którą na emeryturze przeznacza nie tylko na własne uciechy, ale sponsoruje koszykówkę, zwłaszcza młodzieżową. Ludzie z otoczenia PiS nie potrafią żyć bez wrogów.

Podczas ostatnich wyborów prezydenckich Gortat poparł Rafała Trzaskowskiego, czym już ostatecznie podpadł Piesiewiczowi, który czuje głęboką więź z pisowską prawicą, a jej kandydat Karol Nawrocki, „silny człowiek", bardzo mu imponuje, bo sam chce być taki.

Na początku jest marzenie

Piesiewicz zamarzył, żeby zostać prezydentem Polskiego Komitatu Olimpijskiego. To wspaniała posada. Jest się praktycznie nieruszalnym, otwiera się furtka do międzynarodowej kariery, a na jej końcu – kto wie – może przewodniczenie ONZ albo innej prestiżowej światowej organizacji. No i jaki prestiż! W końcu pierwszym szefem Polskiego Komitetu Olimpijskiego był książę Stefan Lubomirski. Brakuje Piesiewiczowi książęcego tytułu przy nazwisku. Sądzę, że jego ambicje mogą sięgać naprawdę wysoko.

Sprawa wydawała się beznadziejna. Przed zjazdem sprawozdawczo-wyborczym jedynym pewnym kandydatem wydawał się nieżyjący już Andrzej Kraśnicki. Nikt nawet nie zastanawiał się, kto mógłby z nim wygrać. No nie, był ktoś taki – Radosław Piesiewicz.

W uczciwych wyborach nie miałby szans. Jedyny sposób – wpłynąć na Kraśnickiego, żeby zrezygnował z wyborów. I tak się stało, a cała akcja miała w sobie coś bardzo tajemniczego.

Zostało mi jeszcze trochę znajomości z czasów, gdy byłem czynnym dziennikarzem sportowym. Dacie wiarę? Nawet ludzie, z którymi byłem w dość dużej zażyłości, a którzy wiedzieli sporo, unikali rozmów na ten temat. W końcu uzyskałem dość jasny obraz tego, co się zdarzyło, i teraz, gdy Piesiewicz opowiada z tym swoim paskudnym uśmieszkiem, że nie zrezygnuje ze stanowiska, bo został demokratycznie wybrany, turlać mi się chce ze śmiechu.

Andrzej Kraśnicki zrezygnował z kandydowania. Poprzedziła to wizyta w pałacu prezydenckim, w którym już za czasów Andrzeja Dudy Piesiewicz czuł się jak u siebie w domu. Za przyczynę rezygnacji Kraśnicki podał, że robi to „dla dobra polskiego sportu". Oryginalne wyjaśnienie…

Czy Kraśnickiemu czymś grożono? Nie wiem, nie sądzę, to był człowiek bardzo niezależny. Także finansowo, przez lata swojej prezesury nie wziął za nią ani grosza. Na odchodne zaproponowano mu 1 proc. od zawartych podczas urzędowania kontraktów sponsorskich (szkoła Piesiewicza). Uzbierało się coś ok. 1 mln euro. Podniósł się wrzask, że prezes się sprzedał. Kraśnicki odmówił więc przyjęcia premii i zapowiedział, że nigdy jej nie przyjmie, i nie przyjął.

Uczciwe wybory

Samego głosowania dziennikarze obserwować nie mogli, wyproszono ich z sali. A szkoda, bo z tego, co słyszę, było bardzo ciekawe. Wynik był z góry znany. Początkowo zresztą Radosław Piesiewicz miał być jedynym kandydatem wybranym przez aklamację. W ostatniej chwili zgłosił chęć objęcia fotela młody prezes Polskiego Związku Sumo Kewin Rozum, który wystąpił w roli znanego z lekkoatletycznych bieżni „zająca". Sumo nie jest dyscypliną olimpijską, więc nawet gdyby na pomoc przybyli mu ponad stukilogramowi zapaśnicy, nie miałby żadnych szans. Takie to były demokratyczne wybory, które wygrał Piesiewicz.

Z tego, co słyszałem, sam proces wyborczy też był interesujący. Ci, którzy powinni, dostali na swoje smartfony zdjęcie prawidłowo (oczywiście według Piesiewicza) wypełnionej karty. Niektórzy, jednak nie tak wielu, widząc, w czym uczestniczą, opuścili obrady i następca księcia Lubomirskiego mógł zasiadać w prezesowskim fotelu. Natychmiast też otoczył się gromadą dobrze opłacanych pracowników, absolutnie wiernych, bo wszystko zawdzięczali Piesiewiczowi.

Zdziwicie się, ale początkowo część działaczy związków sportowych (m.in. Adam Małysz) była zadowolona. Rozmawiałem z koleżanką, która mimo wieku emerytalnego pracuje w jednym ze związków. Mówiła mi rozradowana, że sport zawsze był biedny, a teraz dzięki Piesiewiczowi nareszcie będzie bogaty. „Gówno prawda, przyjaciółko – ripostowałem. – Bogaty to będzie Piesiewicz, u was nic się nie zmieni". Jakiś czas temu znów się spotkaliśmy i przyznała mi rację.

Urzędowanie Radosława Piesiewicza na zaszczytnym stanowisku to jeden ciąg afer. Poszło o zarobki prezesa, niewypłacenie premii olimpijczykom, o kosztowny dom olimpijski w Paryżu, delegacje, wreszcie przyjęcie za głównego sponsora giełdy kryptowalut Zondacrypto, co spowodowało, że do nazwy siedziby komitetu obok św. Jana Pawła II dodano podejrzaną firmę. Później, gdy afera zatoczyła szerokie kręgi, trzeba było chyłkiem zdejmować napis z budynku.

Gasnący uśmiech prezesa

To już było zbyt wiele nawet dla akolitów prezesa. Jeden po drugim zaczęli się burzyć. Nie wiem, jaki jest układ dzisiaj, ale wydaje mi się, że ze znanych w sporcie osób przy Piesiewiczu został tylko były srebrny medalista olimpijski w zapasach Andrzej Supron. Może ktoś jeszcze obok gromadki posłusznych i wodzonych na pasku wypłaty urzędników.

Taki już los upadającego anioła, któremu ręki nie poda saudyjski książę Al-Walid, tym bardziej że Piesiewicz aniołem nie jest.

Wśród rzeczywistych członków PKOl krąży teraz list z wezwaniem do zwołania nadzwyczajnego zjazdu, bo tylko on może odwołać prezesa. Program zjazdu zawarty jest w trzech punktach: 1. Zwołanie obrad, 2. Głosowanie nad odwołaniem prezesa, 3. Zamknięcie obrad.

Wygląda na to, że gdzieś tak w połowie czerwca Radosław Piesiewicz pożegna się ze stołkiem, chyba że Jacek Sasin, inni pisowcy oraz sam prezydent RP wykombinują coś, co pozwoli mu zachować posadę i nadal podczas wystąpień na konferencjach uśmiechać się tym znienawidzonym przeze mnie uśmieszkiem człowieka pewnego siebie i zarozumiałego, któremu nikt na całym świecie nie jest w stanie zaszkodzić.

Złapałem się na tym, że coraz częściej moje teksty przypominają historię choroby. Prawda, miałem też w życiu ciężkie okresy depresji, leczyłem ją w szpitalnym oddziale psychiatrycznym. Spotkałem tam pacjentów, którym wydawało się, że są wszechpotężnymi władcami, królami, a nawet bogami. Nie trwało to długo, panie prezesie Piesiewicz. Potężna dawka psychotropów wyprowadzała ich z tego błędnego mniemania.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 20.05.2026 r.

„NIE" w komórce

Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl fefc40b2c9

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Trzy tysiące siedmiuset osiemdziesięciu dwóch – zameldował oficer w randze podpułkownika.

– Mi wyszło trzy tysiące sześciuset jedenastu – oświadczył wiceminister Wziątek.

– A mi o dwudziestu trzech więcej – dodał wiceminister Bejda.

Wicepremier i minister obrony Kosiniak-Kamysz spojrzał krzywo na podwładnych.

– Spocznij – szepnął. – Myślałem, że więcej.

– Kilku jest na urlopie, jeden na macierzyńskim, przepraszam, jedna, kilku w szpitalu, kilku w areszcie, tych nie liczyłem ze względu na znikomą wartość bojową – informował podpułkownik. – Można przyjąć, że liczba sprawnych żołnierzy amerykańskich obecnych w Polsce wynosi trzy tysiące siedemset pięćdziesiąt. Bez rotacji.

Wziątek i Bejda nie zaprotestowali. Kosiniak-Kamysz zrobił zmartwioną minę.

– Ile czasu potrzebują oni na relokację? – zapytał.

– Na relokację dokąd? – chciał wiedzieć podpułkownik.

– Do Stanów, do Niemiec, na Grenlandię… – odparł coraz bardziej wściekły minister. – Wszystko jedno dokąd…

– Pan premier pyta, ile potrzeba im czasu na to, żeby spieprzyć z Polski?

Wicepremier nie zaprzeczył.

– Trzydzieści sześć godzin – dziarsko zameldował oficer.

Wziątek i Bejda mieli miny najnieszczęśliwszych ludzi w tej części Europy.

• • •

– Ile?! – wrzeszczał premier Tusk.

– Trzydzieści sześć godzin – powtórzył Kosiniak-Kamysz.

Tusk zaklął po kaszubsku.

– Jaki mamy plan be? – spytał.

– Dodamy im po dziesięć tysięcy miesięcznie do żołdu, podniesiemy standard zakwaterowania, uruchomimy kasyna, dyskoteki i lupanary – odpowiedział wicepremier. – Zastanawiamy się nad otwarciem palarni opium…

– To ich zatrzyma?

Minister obrony wzruszył ramionami.

Premier patrzył przez okno. Na dworze wzmógł się wiatr, zaczęło padać. Gdzieś daleko rozległ się grzmot.

Co by było, gdyby to nie był grzmot? – zadał sobie w myślach pytanie, ale nie odważył się powtórzyć go głośno.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA była w Białymstoku w teatrze, ale w kinie. **JOANNA SENYSZYN** w Częstochowie, ale nie na pielgrzymce.

Wołk-Łaniewska: – I cóż tyś w tym świętym mieście robiła?

Senyszyn: – Byłam bliżej ludzi…

– …bliżej ludzkich spraw? Jak prezydentowa Nawrocka?

– To nie była ustawiona gospodarska wizyta, jaką robią nasi przywódcy od czasów Gierka – jeśli to sugerujesz… Najpierw byłam na rynku z asortymentem mydło i powidło, ale głównie owocowo-warzywnym, gdzie poznałam panią Mariannę Pilecką, która ma lat 90 i właśnie szpital odmówił jej pilnej operacji nogi. Bo do końca grudnia nie ma już pieniędzy, a co będzie w przyszłym roku, nie wiadomo. Kto dożyje, ma się zgłosić w styczniu. Można odnieść wrażenie, że w zakresie ochrony zdrowia rząd stawia na selekcję naturalną, a chroni głównie granice, i to przed biednymi ludźmi, którzy szukają lepszego życia. Potem miałam spotkanie w klubie Stacherczak. Frekwencja dopisała. Byli głównie młodzi ludzie, którzy chcą lepszej Polski. Aktywnością wyróżniało się dwóch 12-latków, przyjaciół z podstawówki…

– To zajebiście, że tak młodzi ludzie interesują się polityką. Trochę gorzej, że będziesz musiała czekać sześć lat, aż będą mogli zagłosować na Nową Falę…

– Oj, nie bądź taka interesowna.

– Postaram się. To teraz ja się pochwalę. Byłam w Białymstoku na spektaklu zatytułowanym „Sytuacja graniczna", zrobionym przez organizm, co się nazywa Instytut Prawa Performatywnego, a wyreżyserowanym przez Michała Zadarę. Pomysł jest taki, że odbywa się sąd, przed którym staje Polska w związku z traktowaniem uchodźców na granicy z Białorusią.

– Pomysł oryginalny.

– Powiem tak: mogło to być nieco lepiej napisane. A także zagrane. Ale to nieważne – ważna jest idea, która jest znakomita. Chodzi w gruncie rzeczy o to, że jesteśmy państwem zbrodniczym. Bo sposób, w jaki traktowani są przez Polskę ludzie na tej granicy, wyczerpuje znamiona zbrodni przeciw ludzkości.

– Taki wyrok wydał sąd teatralny?

– A wiesz, że nie? Oni wyrażali się zdecydowanie bardziej ostrożnie. To mój wyrok. Według Statutu Rzymskiego MTK do zbrodni przeciw ludzkości zaliczają się „deportacja lub przymusowe przemieszczanie ludności", a także „inne nieludzkie czyny celowo powodujące ogromne cierpienie lub poważne uszkodzenie ciała albo zdrowia", dokonane w ramach „rozległego lub systematycznego, świadomego ataku skierowanego przeciwko ludności cywilnej". Migranci na granicy są ludnością cywilną, wyrzucanie ich za płot, w zimny las albo w ręce białoruskich służb jest nieludzkie i bezsprzecznie powoduje ogromne cierpienia, a działanie polskich władz jest systematyczne i świadome. Nawiasem mówiąc: wiesz, że wyrzucanie tych uchodźców za płot nie oznacza wyrzucania na Białoruś?

– A co?

– To niezwykle interesująca informacja płynąca z tego spektaklu. Otóż płot stoi w odległości 1,25 m od granicy państwowej, po polskiej stronie.

– To niby logiczne, że nie wybudowali go wprost na linii granicznej, ale jakoś o tym nie myślimy.

– Prawda? Toteż ci ludzie, którzy stoją na podmurówce i wpatrują się w ziemię obiecaną – są w Polsce. I to Polska jest odpowiedzialna za ich życie i zdrowie. I jest naprawdę podnoszącym na duchu, że istnieje jakiś kolektyw artystyczny, który się tym przejmuje. Zresztą nie tylko artystyczny. Był tam np. Piotr Czaban, znakomity reporter, który w 2022 r. odszedł z Tefałenu i ma własny kanał o nazwie „Czaban robi raban".



Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Nazwa średnia, ale zawartość znakomita. Czaban pokazuje bez retuszu, co się dzieje na granicy…

– W lutym opublikowaliśmy wywiad z nim, niezwykle ciekawy. Byli aktywiści, którzy pomagają uchodźcom w puszczy, są za to ciągani po sądach. Strasznie fajni są też aktorzy z tego spektaklu: Maja Ostaszewska, a także ktoś, kto nazywa się Mateusz Janicki i nie miałam pojęcia, że istnieje.

– A ja tak, bo rok temu porwała go idea czerwonych korali. Jest po dobrej stronie mocy.

– No widzisz. A ja tkwiłam w ignorancji, aż moja przyjaciółka Becia, z którą byłam w Białymstoku, mi wyjaśniła, że leczy bezsenność serialem „Na dobre i na złe" i tenże Janicki tam gra lekarza.

– Niech zgadnę: dobrego?

– A nie wiem, nie dopytałam. Wiem za to, że jest mądrym i zaangażowanym politycznie człowiekiem, który rozumie – bo to bardzo ważne – że prawa człowieka, ta cała sytuacja na granicy, to kwestie stricte polityczne. I nie da się ich rozstrzygnąć w oderwaniu od polityki. Nie drażni cię czasem, że ludzie, którzy skądinąd mają dobre intencje, różne organizacje praw człowieka na przykład, zabobonnie odżegnują się od polityki – podczas gdy zarówno istnienie, jak i łamanie praw człowieka jest bezpośrednim efektem polityki?

– Wszystko jest w jakiejś mierze polityczne. A polscy politycy zawsze mieli kłopot z rozróżnianiem dobra i zła. Pamiętam, jak w 2005 r. na prośbę Amnesty International zbierałam wśród posłów podpisy pod zakazem tortur i wnioskiem o zamknięcie amerykańskiego więzienia w Guantánamo na twojej kochanej Kubie.

– Dodajmy: na terenie okupowanym przez USA. Fidel wymówił dzierżawę bazy w 1959 r. i od tego czasu Kuba odsyła Amerykanom 4085 dolków, które rząd USA im płaci…

– Wracając do tematu: większość posłów w ogóle nie rozumiała, o co chodzi i dlaczego mieliby być przeciwni torturom. Twierdzili wręcz, że cel uświęca środki, więc jeśli inaczej nie można wydobyć informacji od terrorystów… A Guantánamo omal nie zrobili w Klewkach.

– Właśnie zrobili, w Kiejkutach. Lepper pomylił się zaledwie o 50 km. A ile było darcia łacha… I co, podpisali ci ten kwit?

– Tylko dwudziestu.

– Niech zgadnę: głównie z Samoobrony. Zmieniając temat: rozczulił mnie Lech Wałęsa…

– Ja wiem, on cię zawsze rozczula.

– Bo niezależnie od wszystkiego innego on po prostu jest przywódcą robotniczego protestu, a moje lewactwo każe mi kochać robotniczych przywódców… A poza tym Karol Modzelewski, którego wielbiłam bezkrytycznie, powiedział mi kiedyś, że Wałęsa jest „człowiekiem wybitnej, choć dość szczególnej inteligencji". I ja się z tym absolutnie zgadzam.

– Kilka dni temu Wałęsa był w Parlamencie Europejskim, który nagrodził go Europejskim Orderem Zasługi, razem z Angelą Merkel i Jerzym Buzkiem, co jest zresztą dziwacznym zestawem. Wałęsa wygłosił przy okazji absurdalny monolog o tym, jak to Solidarność powstała, bo polscy robotnicy – czytaj Wałęsa osobiście – uznali, że „świat musi zostać przeorganizowany".

– Przy całej mojej miłości do klasy robotniczej i robotniczych protestów, chodziło o dwa tysiące podwyżki i wprowadzenie kartek na mięso. I – owszem – przywrócenie do pracy wylanych dyscyplinarnie kolegów, ale naprawdę nikt nie chciał przeorganizowywać świata. Ale ja nawet nie o tym chciałam…

– A o czym?

– Najpierw pomyślałam sobie, że Wałęsa wygląda groteskowo. Mógł jakiś garnitur założyć, a on był w koszuli typu guayabera…

– Co jest – wyjaśnijmy – męską koszulą z dwoma rzędami plis i naszywanymi kieszeniami, noszoną na spodnie, bardzo popularną w krajach latynoamerykańskich.

– A szczególnie na Kubie. I na tej guayaberze Lechu po lewej miał wyszytą Matkę Boską, po prawej Solidarność, i jeszcze se pod tą Solidarnością przypiął okrągły znaczek z ukraińską flagą. Wyglądał kuriozalnie. A potem pomyślałam: kto w PE wie, że to szyk kubański? Może Hiszpanie. A inni uznali, że te wszystkie ozdóbki to swoisty mundur przywódcy rewolucji. Że tak powinna wyglądać legenda robotnicza, a nie jak jakiś zaprzedaniec w gangu pod krawatem. I myślę sobie, że Wałęsa to wie. Inteligencja wybitna, acz dość szczególna…

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl fefc40b2c9